Nr. LXI-II Maj-Czerwiec 1938

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Nr. LXI-II Maj-Czerwiec 1938

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Druk. „Lech", Warszawa, Koszykowa 33, tel. 8.90-66.

T R E Ś Ć:

4

Do Czytelników

Numer kwietniowy naszego wydawnictwa został skonfiskowany przez cenzurę i to w momencie, gdy już cały nakład był gotowy do ekspedycji. Konfiskata nastąpiła wskutek kilku ustępów, które Władze kontrolujące uznały za nieodpowiednie do publikacji.

„Nasza Przyszłość", jako czysto ideowa i niezależna od żadnej partji politycznej, ani grupy gospodarczej, ale utrzymująca się rzeczywiście tylko własnymi środkami, jest wydawnictwem, przeznaczonem zgóry na deficytowość, uzupełnianą tylko darami ideowymi jego specjalnych przyjaciół — i stąd jest zbyt biedną, aby mogła, po konfiskacie całego nakładu, pozwolić sobie na drugi nakład, odnoszący się do danego miesiąca. Wszak koszta całego skonfiskowanego nakładu i tak ponieśliśmy, za wyjątkiem tylko niewielkiego już kosztu ekspedycji. Nie mamy możności powtórzyć nakładu za kwiecień.

Dlatego z żalem zawiadamiamy o tem naszych Czytelników i—pomijając z konieczności numer za kwiecień—przesyłamy Im niniejszy zeszyt za maj i czerwiec w podwójnej objętości. Zaznaczamy przy tem, że jeżeli chodzi o poważniejsze sprawy polityczne, przedstawione w naszem ujęciu, to Czytelnik prawie nic nie straci, gdyż zamieściliśmy je — jako nadal bardzo aktualne — ze skonfiskowanego kwietniowego numeru w nieco innej formie, ale ostatecznie z tą samą tendencją w niniejszym zeszycie.

Redakcja.

Trzecia próba ustroju i nastroju

Dwa, wyraźnie rozgraniczone okresy ustroju państwa i nastroju społeczeństwa mamy już za sobą od chwili wskrzeszenia niepodległości. Obecnie wstępujemy niemniej wyraźnie w trzeci okres. Tylko, że w przeciwieństwie do niektórych innych państw, gdzie zmiany ustrojów i nastrojów miały w czasach powojennych charakter i rezultat integralny, wgłąb sięgający i trwały, nadając danym państwom i narodom wyraźne oblicze, zmiany te na tle wodnistych, zawsze chwiejnych stosunków i mentalności w Polsce nie mają znamion przełomów, dostatecznie dla historji zdecydowanych, ale w perspektywie na nieco dalszą metę mają znamiona raczej pewnych prób — eksperymentów, rozpływających się mniej lub więcej w polskiej, dotąd zawsze jeszcze chwiejnej „słowiańskiej" naturze.

I tak przebrnęliśmy najpierw przez ośmioletni okres - próbę integralnej demokracji i najintegralniejszego na świecie parlamentaryzmu. W tym czasie zrobiono u nas wszystko, z zapałem godnym lepszej sprawy, aby wywrócić do góry nogami wszelki zdrowy rozsądek i wszelkie twórcze walory w społeczeństwie. Pod wpływem dziecinnie rozpasanej demagogji stała się świeżo wskrzeszona Polska jednem, wielkiem polem najzgubniejszych doktryn i eksperymentów partyjno - gospodarczych. W rezultacie wszystko to było niczem innem, jak tylko społecznem odwróceniem dawnej anarchji szlacheckiej. Miejsce dawnego szlachcica - warchoła zajął nowomodny, pseudo - postępowy typ obdartego proletarjusza, obdarzony jednak kubek w kubek temi samemi wadami i namiętnościami, tą samą, odpowiednio tylko zmodernizowaną demagogją.

Lecieliśmy w przepaść anarchji i osłabienia pod każdym względem.

Następny okres, zapoczątkowany przewrotem majowym, wniósł wiele zmian, zatamował, a przynajmniej bardzo znacznie osłabił na szereg lat anarchję, wzmocnił rządy, administracyjną

kość pacierzową państwa i przedewszystkiem jego politykę zagraniczną, w której Polska poraz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczęła nareszcie występować śmiało i aktywnie. Obalił też ten drugi okres ów najszkodliwszy w dziejach Polski typ posła - warchoła, miażdżąc go nie tylko palącem piętnem, ale i ośmieszeniem, które zawsze, jak wiadomo, skuteczniej od wszelkiej innej broni zabija. Wreszcie przyniósł nam ten drugi okres konstytucję i ordynację wyborczą, w każdym razie bez porównania lepsze od poprzednich, niemniej jednak — według zgodnej w tym jednym wypadku opinji całego społeczeństwa — mające charakter tymczasowy, przejściowy.

Ale, rzecz dziwna, jak szybko najlepsze i najsłuszniejsze w zasadzie zamierzenia, a nawet fakta dokonane, w narodzie polskim przeżywają się, wypaczają i wycierają! Wielki eksperyment Naprawy Rzeczypospolitej, podjęty i w znacznej części przeprowadzony w okresie pomajowym, zaczął — z pewnymi wyjątkami — stopniowo dezorganizować się i sam siebie pożerać! Nie należy uciekać przed prawdą i chować, na kształt strusia, głowy w piasek. Faktem jest bezspornym, że naród polski nie zrozumiał głębszych intencji ś. p. Marszałka Piłsudskiego i niewiele też dopomógł do trwałej ich realizacji. Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, w zasadzie dobrze pomyślany, wszedł jednak po kilkoletnim żywocie w stadjum dekompozycji i nie przeżył swego Inicjatora. Strawił się sam w sobie. Wznowiona rok temu w nieco innej formie dalsza próba konsolidacji społeczeństwa w postaci Obozu Zjednoczenia Narodowego przechodzi od samego początku ciężki kryzys. Ciężki nietyle z powodu opozycji przeciwników, ile przedewszystkiem z powodu ustawicznych wstrząsów, walk, zmagań i zmian wewnętrznych.

A przecież pierwszym najoczywistszym warunkiem każdej akcji konsolidacyjnej jest ten, aby sama była wewnętrznie dobrze skonsolidowaną. Ozon warunku tego dotąd nie spełnił — co przecież nie jest dla nikogo tajemnicą — i żadne sztuczne sposoby, enuncjacje, inscenizowane wywiady dziennikarskie i t. p. nie są w stanie tej prawdy zasłonić. I byłoby nawet bardzo źle, gdyby były w stanie zasłonić, bo wówczas — w braku wszelkiej krytyki — rząd i naród budowaliby fikcję nad próżnią. Mamy prawo wypowiedzieć to jasno na łamach tego wydawnictwa, gdyż jedni z pierwszych zgłosiliśmy akces do Ozonu przedewszystkiem dlatego, żeby złożyć dowód, iż jesteśmy skrajnie przeciwni wszelkiemu rezonowaniu à la Targowica. Jak

konsolidacja, to konsolidacja i basta! Ale stwierdzając dotąd tylko ustawiczne, wprost kolejdoskopowe zmiany ludzi, prądów i nastrojów w Ozonie, musimy postawić nad nimi na razie — i to również na podstawie własnego doświadczenia — wielki znak zapytania, aż do całkowitego wyjaśnienia sytuacji.

Nie wdając się tu w szczegółową analizę obecnego kresu drugiej epoki, dwunastoletniej, w dziejach wskrzeszonej Polski, możemy i musimy na razie tylko skonstatować niepowodzenie akcji konsolidacyjnej w atmosferze warunków i dążeń, w których zdaje się rozpływać zwolna duch „reżimu pomajowego".

Jakkolwiek bądź, nie ulega wątpliwości, że wkraczamy obecnie stopniowo w trzeci okres nastroju i ustroju państwa. Akcentujemy umyślnie na pierwszym miejscu wyraźnie „nastrój", gdyż tym razem nowy okres zaczyna się od pociągnięć, mających na celu pewne przegrupowania w społeczeństwie drogą inicjowania odpowiednich nastrojów, za którymi dopiero później przyjdą może odpowiednie zmiany ustrojowe. W każdym razie i ten trzeci, rozpoczynający się okres stoi pod znakiem nowej próby konsolidacyjnej, tym razem ujętej bardzo szeroko, gdyż zmierzającej wyraźnie do przyciągnięcia wszystkich sfer opozycyjnych.

Dalecy jesteśmy oczywiście od jakichkolwiek uczuć, a tem bardziej akcji, któreby w czemkolwiek mogły przeszkodzić usiłowaniu wzmocnienia w Polsce zgody, która była jej zawsze i jest bardzo potrzebną. Wszak przedewszystkiem niezgoda spowodowała ongiś upadek Polski, a stąd najprostszy wniosek, że jednym z podstawowych warunków zabezpieczenia naszej niepodległości i wzmocnienia mocarstwowości państwa jest kwestja możliwie silnego zjednoczenia wszystkich warstw narodu i wszelkich jego różnic w zapatrywaniach politycznych. Chodzi jednak właśnie dlatego o to, aby tę nową próbę zjednoczenia, podjętą najniewątpliwiej w najlepszych zamiarach i opartą — jak słyszymy i czytamy — na słusznych założeniach politycznych i gospodarczych, uchronić od ewentualnych niepowodzeń, jakie mogłyby wyniknąć wskutek nie czego innego, jak może pewnego zlekceważenia przeszłości. Wszelka bowiem próba wprowadzenia prawdziwie skutecznych, pozytywnych nastrojów w danym społeczeństwie i osiągnięcia trwałych, pomyślnych rezultatów musi bezwarunkowo rozporządzać głębszem i dłuższem doświadczeniem politycznem, musi — mówiąc wyrażeniem poety — jednym skrzydłem o przeszłość, drugim

o przyszłość uderzyć. Inaczej, mimo najlepszych chęci, skończy się znowu na połowicznym eksperymencie.

Otóż, ogółem biorąc, zakorzenił się od najpierwszej chwili wskrzeszenia Polski — już od chwili ustępowania z naszych ziem ostatnich okupantów — zwyczaj, wprost hasło, aby przekreślać wszelką polską minioną rzeczywistość, a liczyć nowe dzieje państwa i narodu tylko od momentu nastania jakiegoś nowego reżimu. Wszystko, co przedtem było, dobrego czy złego, to nic, gdyż „prawdziwa Polska" rozpoczyna się od momentu wystąpienia pionierów nowego kierunku. Od tego momentu też mają się zmienić, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszelkie nastroje, przekonania, dążenia i zmagania społeczno-polityczne różnych sfer w narodzie i to nawet takie, które nie są przejawem jakiejś przemijającej propagandy partyjnej, ale tkwią korzeniami głęboko od dziesiątków lat w mentalności dwóch, trzech lub czterech pokoleń.

I w tem leży z reguły olbrzymia pomyłka różnych, nawet najlepiej myślących polityków polskich okresu powojennego. Są zbyt pewni siebie i czując chwilowo jakieś oparcie w pewnych sferach czy stosunkach, usiłują apelować do różnic politycznych w narodzie, niedość zdając sobie sprawę, że nie tyle z organizacjami partyjnemi — zawsze chwiejnemi, a często w pewnym sensie i przekupnemi — mają do czynienia, ile w rzeczywistości z głębokiemi różnicami w mentalności ludzkiej, wyhodowanemi od pokoleń i twardemi jak mur.

Doszły do tego w najnowszych czasach niemniej głęboko zakorzenione wpływy i intrygi różnorodnych „obcych agentur", które rozpleniły się także i w Polsce na kształt trudno uleczalnego trądu, przenikając z niesłychaną perfidją i obcą polskiej naturze żelazną konsekwencją we wszystkie, bez żadnego wyjątku, partje polityczne, zrzeszenia wszelkiego rodzaju, w różne, nawet w zasadzie najlepsze prądy i dążenia w społeczeństwie, słowem w najgłębsze komórki organizmu narodowego i państwowego.

Niedostateczna znajomość lub zlekceważenie tego stanu rzeczy tłomaczy wystarczająco to znamienne dla polskich stosunków zjawisko, że najlepsze zamierzenia, najszczytniejsze hasła, które chwilowo wielkie robią wrażenie i — zdawałoby się — doniosłe rokują rezultaty, spotyka kolejno ten sam los: z początku wielki rozmach, potem szczyt powodzenia, a potem coś zaczyna się psuć, ludzie i programy spadają z piedestałów i w końcu wszystko rozpływa się w letniej wodzie, pozostawiając

po sobie w ostatecznym rezultacie niewiele więcej, jak... wspomnienie minionego eksperymentu.

Każda więc nowa próba wewnętrznego wzmocnienia państwa i zbliżenia ideału zgody narodowej na specyficznym gruncie polskim, jeżeli ma na serjo osiągnąć jakieś trwalsze i głębsze rezultaty, musi uznać nie tylko w zasadzie, ale i w praktyce następujące, objektywnem doświadczeniem dziejowem dyktowane reguły:

Po pierwsze, że historja narodu, a więc i jego głównych odłamów mentalności społeczno - politycznej, stanowi pewną ciągłość, której za jednym zamachem największy nawet autokrata nie byłby w stanie zmienić. Mogą wprawdzie zdolni, władzą i pieniędzmi dysponujący pionierzy jakiegoś nowego kierunku zwabić do siebie chwilowo najróżnorodniejsze, najsprzeczniejsze między sobą odłamy społeczeństwa — a zwłaszcza grupy ambitne lub głodne masy — ale będzie to tylko robota „za wszelką cenę", a więc powierzchowna i o przemijającym rezultacie.

Po wtóre, samemi korzyściami gospodarczemi ogółu narodu polskiego przyciągnąć i skonsolidować trwale niepodobna. Polak, jako typ, nie był nigdy bogatym — oprócz stosunkowo nielicznych wyjątków — nie zna tego dobrze ufundowanego dobrobytu, w jakim od szeregu pokoleń wychowywały się i wykształciły szczęśliwsze od nas narody, a nauczył się natomiast od niepamiętnych czasów pracować i walczyć za Ojczyznę i za swe przekonania w podartych butach, a nawet boso. Stąd wprawdzie bardzo chętnie każdy Polak pragnie w dzisiejszych ciężkich czasach coś zarobić i dlatego też nie trudno zwerbować u nas chwilowo dla pewnego żłobu nie tylko pojedyńcze jednostki ze wszystkich sfer, lecz i całe partje polityczne. Ale nie sięgnie to w głąb społeczeństwa, nie poderwie go do góry, bo prawdziwym, choć nieraz podświadomie tylko odczuwanym ideałem Polaka są jednak nie korzyści materjalne, ale coś całkiem innego. A co — tego my tutaj rodaków naszych chyba uczyć nie potrzebujemy.

Po trzecie, mimo raczej niematerjalistycznego nastawienia polskiej psychiki, musi jednak każdy nowy kierunek pionierski w Polsce błysnąć społeczeństwu jakąś realnie uzasadnioną nadzieją ogólnej poprawy prywatnego bytu jednostki. I tu z całym naciskiem, z głębi niewzruszonego przekonania ostrzec musimy, że najwspanialsze nawet roboty publiczne, najbardziej imponujące i najbardziej reklamowane dzieła etatyzmu gospodarczego — bezpośredniego lub pośredniego — nie wiele zro-

bią i służyć mogą zawsze tylko pewnym, może niezbędnym, ale bądź co bądź tylko ograniczonym celom. Ogólnego dobrobytu nie podniosą, ogólnej nędzy nie zaradzą i to tem mniej, że zyskać mogą na nich tylko pewne, stosunkowo szczupłe, wybrane zastępy zaangażowanych w tem ludzi. Co więcej, baczyć należy, aby zbyt wielkie dzieła publiczne, dokonane przez państwo lub z pomocą państwa, nie przeholowały miażdżąc w stosunkowo ubogich naszych stosunkach już i tak ledwo dyszące gospodarstwo prywatne, skrępowane i przeciążone ponad wszelką rozumną, zachęcającą miarę skomplikowanym biurokratyzmem i fiskalizmem, a zwłaszcza narzuconemi przemocą państwa ciężarami „dobrodziejstw społecznych".

Prawdziwie trwały i rzetelny „nowy kierunek" musiałby więc przedewszystkiem wziąć stanowczo w obronę jednostkę przed państwem, w przeciwieństwie do odwrotnych stosunków w Polsce przedrozbiorowej, gdzie wobec zbyt wybujałej anarchji indywidualnej należało brać państwo w obronę przed egoistycznym indywidualizmem jednostki.

Wreszcie, po czwarte, pamiętać winni pionierzy każdego „nowego okresu", że o ile przeciętny ogół społeczeństwa polskiego — ogół niepolitykujący — da się stosunkowo dość łatwo poprowadzić, to natomiast pewne, zdawien dawna w narodzie naszym ugruntowane mentalności partyjno-polityczne są i pozostaną nieprzejednane. Paktowanie z niemi jest daremne, a złudzeniem byłoby osiągnięcie na tej drodze chwilowego pozoru rezultatów. Partje takie podważyć trzeba w opinji narodu z prostolinijną konsekwencją, zdemaskować ich właściwe cele i obłudę i zniszczyć stopniowo z korzeniem. Doświadczenie dziesiątków lat dyktuje, że innego sposobu niema.

Z takiemi bowiem partjami, a raczej głęboko zakorzenionymi odłamami mentalności, można co najwięcej osiągnąć wśród znacznych ofiar z interesu ogólnego tylko jakiś chwilowy efekt wyborczy, który jednak pomści się wkrótce potem bez żadnej wątpliwości wzmożeniem i rozzuchwaleniem takiej partji. Zamiast więc osiągnąć konsolidację narodową, osiągnie się coś wręcz przeciwnego: tryumfalne wzmocnienie danej partji w terenie i w parlamencie.

A mistrzami są przywódcy takich głęboko zakorzenionych partyj — mających swe tradycje i wyrobione metody działania — w reagowaniu na różne pionierskie, konsolidacyjne w kraju podniety.

Mieliśmy przykład niedawno. Na wypowiedziany przy pewnej okazji z bardzo miarodajnej strony wysoce ideowy program ogólnej konsolidacji narodowej, pragnący ogarnąć także i skrajną opozycję, odpowiedziała z największym entuzjazmem przedewszystkiem prasa endecka. Mniej wtajemniczonemu w najgłębsze zakamarki prawdziwie endeckiej psychiki, w jej istotne cele i nastawienia, a przedewszystkiem niedość dokładnie znającemu dzieje tego kameleonowego, na masońskich metodach wzorowanego i rzeczywiście ongiś z masonerji powstałego stronnictwa, mogłoby wydać się, że istotnie endecja jest dla wspólnego dobra kraju „do wzięcia" pod takiemi czy innemi warunkami. Kto jednak na podstawie dłuższego doświadczenia — bo to tylko może być w tym wypadku miarodajnem — orjentuje się dobrze w istocie endeckiej psychiki lub jej nowoczesnych odłamów, maskujcych zręcznie endecką rzeczywistość, ten odrazu, bez sekundy wahania powie: Timeo Danaos et dona ferentes.

Nigdy żaden endek, czy zarażony tą mentalnością endekoid, czy „narodowiec", czy jak się tam te wszystkie współczesne projekcje tej zarazy na mózgi ludzkie nazywają, nie pójdzie szczerze na żaden kompromis z nikim, kto nie jest endekiem lub nie zechce stać się wasalem czy narzędziem endecji. Różni już próbowali i każdy wyszedł na tych próbach, jak Zabłocki na mydle. Dlaczego? Bo istota endeckiego ducha nie leży wcale w jakimś określonym programie partyjnym, gdyż ten zmienia się w endecji ze zdumiewającą, bezskrupulatną elastycznością w miarę fluktuacji konjunktur, ale w najskrajniejszej, prawdziwie zasadniczej opozycji do wszystkiego, co nie jest endeckie. Wszak endecja była w swych początkach bezreligijną, a dopiero, gdy socjalizm zaczął głosić programowo bezreligijność odbierając jej masy, przerzuciła się na stronę religji i stała się nagle najzaciętszym prozelitą katolicyzmu. To jednak nie przeszkadza jej wcale wchodzić w wyborcze kompromisy z kim bądź, bez wyboru, a nawet — jak to się raz zdarzyło — bronić wystawiania na wyborach list komunistycznych, a więc finansowanych oczywiście przez Sowiety, w imię „swobody demokratycznej".

Obecnie zalała poprzez swą emanację t. zw. „narodowców" obóoz zachowawczy i zawładnęła nim już niemal całkowicie. A więc tu się modli do Boga i opanowuje wszelkie katolickie zrzeszenia, tam wchodzi w układy z socjalistami, a nawet kokietuje komunistów, to znowu występuje jako konserwatyzująca „prawica", to równocześnie na wsi umie nieźle podjudzać nau-

czycieli i chłopów, a poniekąd nawet i księży przeciw większej i średniej własności jako gorąca gwarantka „praw nabytych ludu i postępu".

Wzywa niby do walki z bolszewizmem, a przeniknięta jest, świadomie lub podświadomie, organicznym defetyzmem wobec „potęgi słowiańskiej Rosji". Zieje niby nienawiścią przeciw wszystkiemu, co niemieckie, a jednak najwięcej ze wszystkich kierunków politycznych w Polsce podatną jest dla penetracji hitleryzmu. W braku obecnie oparcia o rosyjską „siostrzycę słowiańską" rzuca się w objęcia Czechom, jako rosyjskiej namiastce, nie chcąc widzieć i uznać bezspornej chyba prawdy, że dzisiejsze Czechy są skondensowanym na małym obszarze ośrodkiem wszelkich najgorszych machinacji przeciw Polsce, religji i pokojowi w Europie.

Czy więc mentalność, w ten sposób od pół wieku zgórą ukształtowana, jest i może być szczerze przystępną dla jakichkolwiek poczynań konsolidacyjnych? Stanowczo nie. Kto jeszcze nie wierzy, niech raz jeszcze popróbuje. Nie zazdrościmy endekom dojścia tą drogą do mandatów i innych zaszczytów — ale wyrażamy niezachwianą niczem obawę, że wrazie wciągnięcia endecji — wraz z jej rozległym systemem maskujących ją wasalów — w orbitę rządów i wpływów w Polsce pomajowej, pionierzy konsolidacji srodze się zawiodą, a w decydujący organizm państwowy wejdzie czynnik, który mocny jest wprawdzie dotąd w opozycji, ale w pozytywnej pracy umie działać tylko rozkładowo.

Endecja musi wymrzeć, a masy, dziś jej jeszcze hołdujące, przyciągnąć można jedynie jakąś absolutnie zdecydowaną linją polityczną, idąc naprzód, bez oglądania się na prawo i lewo, popierając szczerze i z przekonania interes religji i Kościoła i przynosząc zmaltretowanemu biurokratyzmem i fiskalizmem społeczeństwu widoczne ulgi i nieskrępowaną możność swobodnego, wydatnego zarobkowania. A przedewszystkiem odnosząc to, czego specjalnie endecja zupełnie nie umie, to jest śmiałe sukcesy w polityce zagranicznej.

Mimo endecji i wbrew niej można całkiem dobrze rządzić krajem, w spółce z nią nigdy!

I zastrzegamy się, formułując tę tezę, jak najwyraźniej, że nie kierujemy się w tem żadną partyjno - polityczną zawiścią, gdyż grono, skupione dokoła Naszej Przyszłości, nie ma z partyjnem życiem politycznem absolutnie nic wspólnego, a sąd nasz o nowoczesnej, faktycznej bezpłodności wszelkiego partyj-

nictwa w związku z ogólno-światowym przeżyciem się prawdziwego parlamentaryzmu ogłosiliśmy i uzasadniliśmy już dawno i dostatecznie na tych łamach. Ale pragniemy tylko służyć naszem doświadczeniom — opartem w naszej szkole państwowej na tradycji co najmniej już trzech pokoleń — wszystkim uczciwym, ale może nieco „młodzieńczym" i lekceważącym naukę przeszłości zamierzeniom konsolidacyjnym i uchronić je oraz kraj cały od srogich pod tym względem rozczarowań.

Na podstawie więc wszystkich dotychczasowych, długoletnich doświadczeń i faktów stwierdzamy z głębokim przekonaniem, że wszelkie zamierzenia prawdziwej konsolidacji narodowej, mogące mieć pewne szanse szczerości i trwałości, dokonane być mogą w Polsce jedynie tylko z bezkompromisowem przestrzeganiem następujących zasad praktycznych:

1) Przekreślenie wszelkiej rachuby na zjednanie dla konsolidacji narodowej kierunków i organizacji zbyt skrajnych, w gruncie rzeczy nie dających się przejednać, a więc narodowej demokracji z jednej strony, a socjalistów i nieprzytomnie czerwonych radykałów z drugiej. Kto nie wierzy, niech próbuje, ale uważamy za rzecz pewną, że ta próba prędzej czy później załamie się ze szkodą dla kraju i dla nazbyt ideowych lub pewnych siebie pionierów.

2) Wysunięcie w sposób bezwzględnie zdecydowany jakiegoś rozumnego, dostosowanego do rzeczywistych potrzeb państwa i społeczeństwa programu, bijącego śmiało w twarz wszelką demagogję i wszelkie doktrynerstwo — programu, pewnego siebie, nieczułego na krzyki i wrzaski partyjno demagogiczne — i śmiałe, niewzruszone pójście naprzód z takim jasnym i wyraźnym dla każdego programem, który rozwichrzonym ideologjom społeczeństwa polskiego trzeba bezwzględnie narzucić. Za takim programem pójdzie bez żadnej wątpliwości olbrzymia większość narodu, ale większość tę trzeba suwerennym gestem pociągnąć za sobą, nie zważając na partykularne kaprysy i grymasy i miażdżąc odważnie wszelkie tendencje skrajne, prawicowe i lewicowe.

Ale wymaga to oczywiście odpowiedniej odwagi cywilnej oraz głębszego zrozumienia tego wszystkiego, czego potrzeba nie żerującym klikom ambitnych prowodyrów partyjnych, lecz samemu społeczeństwu.

Otóż jest dotąd prawdziwem nieszczęściem dla polskiego narodu, że niemal wszyscy, którzy od niepamiętnych czasów osiągają w nim wybitne stanowiska, władzę i — co też wiele

znaczy — możność dyspozycji wielkiemi finansami, nie mają realnego, skonkretyzowanego wszechstronnie programu, nie mają dość odwagi cywilnej i łudzą się, że pewne oficjalne, płatne przez rząd przedstawicielstwa „interesów społeczeństwa" są istotnie przedstawicielami interesów, dążeń i pragnień narodu. Kolosalna, pożałowania godna omyłka! Losy i fundusze publiczne sprawiły, że — szczerą prawdę mówiąc — ani sejm, ani senat, ani wszelkie organizacje samorządowe, polityczne i gospodarcze, żadne wogóle zrzeszenia subwencjonowane i przez rząd kontrolowane, żadni „wybitni przedstawiciele" różnych sfer „społeczeństwa" nie są w istocie żadnymi przedstawicielami resp. rzecznikami interesów, bolączek, dążeń i nastroju ogółu. Wszak są to wszystko tylko uprzywilejowane grupy i grupki, ostatecznie płatne przez rząd i właśnie dlatego oderwane od społeczeństwa i mające mentalność „urzędniczą". Mentalność bez urzędowej odpowiedzialności!.

Dlatego każdy minister, czy inny pionier, obdarzony autorytetem i władzą i pragnący pociągnąć i zszeregować społeczeństwo do zgodnej pracy narodowej w pewnym kierunku, popełnia mimo woli błąd zasadniczy ograniczając się do kontaktu z „wybitnymi przedstawicielami" narodu, którzy stanowią tylko wierzchnią, specjalnie uprzywilejowaną, matejalnie doskonale usytuowaną i tandem tedy zależną od rządu warstewką, unoszącą się wysoko ponad społeczeństwem i nie mającą z niem właściwie nic wspólnego.

Czy każdorazowy pionier „nowego ustroju i nastroju", zwerbowawszy sobie postrachem swej chwilowej władzy pewną ilość posłów, prezesów przemysłowych i przywódców partyjnych, wierzy naprawdę, że powiedzie mu się przez nich sprowadzić cały naród do wspólnego mianownika? Nic podobnego z całą pewnością nie nastąpi, gdyż współczesne społeczeństwo polskie dzieli się na dwie, ostro rozgraniczone sfery: na tych, bardzo nielicznych i wysoce uprzywilejowanych, którym się specjalnie w dzisiejszych warunkach świetnie powodzi i którzy dlatego nie mają dla położenia i potrzeb reszty społeczeństwa żadnego szczerego zrozumienia, a odnoszą się do niego z lekceważeniem i pogardliwym snobizmem — i na tę nieszczęsną, olbrzymią, 99-cio procentową resztę, która upada pod ciężarem absurdalnego nadmiaru świadczeń publicznych i biurokracji i klnie pocichu na własne państwo. A im więcej i szczerzej prorządowo jest nastawiona, tem więcej klnie i tem dosadniej krytykuje.

Kapitalną omyłką jest również mniemanie, jakoby prasa współczesna była prawdziwym wyrazem dążeń i nastrojów społeczeństwa. Wszak niemasz dziś — o ile nam wiadomo — poza Naszą Przyszłością niezależnych treścią i tendencją organów prasowych, a natomiast redakcje, zwłaszcza większych dzienników, prorządowych i opozycyjnych, należą właśnie do owej cienkiej sfery uprzywilejowanych, unoszących się wysoko nad społeczeństwem, niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika i odnoszących się z aż nadto widocznem lekceważeniem do czytelniczego tłumu.

W takich warunkach — a oddajemy je tu z fotograficzną wiernością — oddziaływanie na dwustu posłów, kilkudziesięciu dobrze dotowanych prezesów i kilkudziesięciu dziennikarzy plus pewne grono spryciarzy partyjnych, gotowych zawsze do najkarkołomniejszych koziołków i niezrozumiałych dla ogółu „rozgrywek" politycznych, nie może przynieść żadnego na serjo rezultatu. Prawdziwy bowiem rezultat atrakcyjny i konsolidacyjny mogłoby przynieść tylko:

1) zwrócenie się wprost do społeczeństwa z pominięciem jego przez rząd w różny sposób opłacanych lub wogóle uprzywilejowanych, a więc nie prawdziwych „przedstawicieli", a z wysunięciem absolutnie wyraźnego i prawdziwie dla jednostki korzystnego programu,

2) zerwanie z systemem selekcji do pracy państwowej niektórych jednostek według osobistych gustów różnych dygnitarzy, a lekceważącego lub wprost nieprzyjaznego odnoszenia się do innych obywateli.

Ten to właśnie nieszczęsny system selekcji jest z gruntu błędny, najczęściej zupełnie zwodniczy i — jak to dziś już dostatecznie widzimy — stanowi od początku wskrzeszenia Polski największe nieszczęście wszystkich kolejnych rządów. Wybór bowiem w tym systemie selekcji pada z reguły — poza wyjątkowymi wyjątkami — na ludzi słabych, bez kości pacierzowej, czapkujących wszelkiej Władzy i cisnących się za wszelką cenę do żłobu. Unika się zaś umyślnie ludzi mocnych, z charakterem, wolą i programem, gdyż ci oczywiście nie padaliby na twarz przed swym „chlebodawcą", ale przy największej nawet dyscyplinie wnieśliby indywidualne walory do współpracy państwowej, nie kłaniając się nikomu, a nawet nie uważając, jakoby pewne wynagrodzenie za czas i pracę miało zobowiązywać do bałwochwalczego, pochlebczego postrachu.

Nieszczęściem więc naszego narodu jest fakt, że zjawiają się wprawdzie na naszym horyzoncie raz po raz wyjątkowo utalentowane indywidualizmy, które jednak dla realizacji swych celów lubią odsuwać ludzi mocnych, a otaczać się słabymi. Nawiasem stwierdzić należy, że doktrynerski upór, albo szumne lub hałaśliwe gesta nie są wcale oznaką silnego charakteru. Stąd nieuchronnie wynika chwiejność, słabość i efemeryczność niemal wszystkiego, co się u nas dzieje.

Zreasumujmy. Konsolidacja narodu i prawdziwy rząd dusz dadzą się osiągnąć tylko po linji największego oporu, a więc skruszeniem kierunków skrajnych, a porwaniem za sobą spokojnie myślącego ogółu programem jasnym, wyraźnym, przynoszącym ulgę wszystkim po dwudziestu latach powojennej niedoli, a nie wciąż nowe wezwania do ofiar i ciężarów. Zwycięstwo trwałe odniesie już tylko ten, kto po minionej ćwierci wieku wojennej i powojennej niedoli indywidualnej, ponoszonej w imię nienasyconej i przesadzonej idei państwoej oraz jeszcze bardziej nienasyconych doktryn, haseł i wprost oszustw partyjno-społecznych, przyniesie narodowi nareszcie prawdziwą ulgę i wyzwolenie. Nowoczesne państwo grubo przeholowało w swej roli, a z niem razem przeholowały wszelkie kliki partyjne, dochodzące kolejno do władzy i krępujące „wolnego" obywatela ponad wszelką rozumną miarę. Wszyscy mają dość tej w swym rodzaju autokratycznej zabawy, która w każdej swej nowej fazie kończy się ostatecznie tylko stekiem szumnych frazesów, masą krępujących ustaw i rozporządzeń, a przedewszystkim coraz większymi ciężarami z góry i podcinaniem inicjatywy i zarobku prywatnego od dołu.

Są to bezsporne fakta, których żadna oficjalna czy prywatna enuncjacja zdementować uczciwie nie może. Kto więc pragnie chlubnie i trwale, bez złudzeń, zaznaczyć się na kartach współczesnych dziejów Polski w kierunku wzmocnienia i konsolidacji narodu, ten niech nie apeluje do oderwanych od społeczeństwa, uprzywilejowanych klik partyjnych — nigdy nie nasyconych — niech ma odwagę cywilną rozbić ową skorupę sztucznej selekcji, a natomiast niech przyniesie prawdziwe, w głąb sięgające ulgi zbiedzonemu, zduszonemu etatyzmem i partyjnictwem społeczeństwu, podciągając je do góry równocześnie bardzo śmiałą, zdecydowaną polityką zagraniczną — taką, żeby każdy Polak nabrał pewności, że jest obywatelem państwa, prawdziwie mocarstwowego.

I jeszcze jedno. Ten, kto w naszych współczesnych warunkach pragnie powyższego dzieła naprawdę dokonać, a przynajmniej skutecznie je zapoczątkować, musi złamać moc i wpływy obcych agentur. Nie na próżno wskazał na to ś. p. Marszałek Piłsudski. Obce agentury mają dziś już istotnie daleko większy wpływ na wszystko, co się w Polsce dzieje, niż to sobie ogół naszych rodaków wyobraża. Trzeba zwłaszcza przełamać wszelkimi środkami rozpowszechnione — i nie bez pewnego uzasadnienia — w politycznych sferach przekonanie, że bez kontaktu, czy kompromisu z pewnemi obcemi agenturami nic się w Polsce zrobić nie da.

Ma to dlatego pierwszorzędne znaczenie dla wszelkich dążeń konsolidacyjnych, że przecież naczelną tendencją wszystkich obcych agentur jest udaremnienie konsolidacji narodowej i podniecanie ustawicznego fermentu. A dzieje się to nieraz właśnie w bardzo perfidny sposób rzucaniem nieszczerych haseł „konsolidacyjnych", ale z równoczesnem stosowanem najdziwaczniejszych personalnych selekcji i zaraz następnie rozbijaniem zapoczątkowanego w ten sposób dzieła niby zgody narodowej.

Sapienti sat.

Te przesadne selekcje i personalja trzeba w życiu naszem publicznem stanowczo wyeliminować, gdyż nie są one niczem innem, jak tylko szkodliwymi meteorami na horyzoncie naszej polityczno-kalejdoskopowej fata-morgany, zapadając się raz po raz w nicość, ale pozostawiając po sobie tylko echa hałaśliwej reklamy prasowej i coraz większe, progresywne osłabienie państwa. A główną winę stanowi w tem nadmierna pycha personalna, paradoksalnie połączona z niezrozumiałą słabością wobec wrogich Polsce obcych agentur. Przypominają się słowa z Fausta, prawdziwie genjalne w zastosowaniu zwłaszcza do naszej współczesnej polityki i do szumnych poczynań różnych „wybitnych" osobistości:

„Du glaubst zu schieben und du wirst geschoben".

Jan Bobrzyński.

Podział Czechosłowacji i Unja z Węgrami

Co od lat przewidywała i głosiła Nasza Przyszłość piórem i słowem — i co zresztą od początku było do przewidzenia — to obecnie zaczyna zwolna wchodzić w stadjum nieuniknionej realizacji: sztuczny, paradoksalny, wyłącznie tylko na masońskiej intrydze oparty twór czesko - niemiecko - słowacko - ruski, a krótko mówiąc masońsko - bolszewicki, zaczyna w otrzeźwionej opinji całej cywilizowanej Europy wchodzić pod znak zapytania.

Jako pierwszy taran, który w dziwaczny, a dla cywilizacji naszej wielce niebezpieczny twór czeski uderza, występują niemieckie pretensje do okręgu sudeckiego. Ale groźne dla czeskich masonów rozmachy tego taranu są tylko pierwszym, w istocie drugorzędnym, fragmentarycznym przejawem głównej sprawy, której sedno leży w tem, że cywilizowana, antykomunistycznie nastrojona Europa nie może znieść à la longue w swojem centrum takiego, ze wszech miar rozkładowego i wulkanizującego czynnika, jakim jest rozdęty balon obecnego czeskiego „imperjum". Jeżeli olbrzymia, eurazjatycka Rosja jest wulkanem moskiewskiego imperjalizmu i bolszewizmu, to malutkie Czechy stały się śmietniskiem i zorganizowaną placówką wszelkich wschodnich i zachodnich doktryn i konspiracji wywrotowych. W Pradze znajdziesz w skondensowanej postaci wszystkie idee i zamierzenia z całej kuli ziemskiej, mające wywrócić świat i współczesną cywilizację do góry nogami.

W tym względzie niemasz już żadnych wątpliwości tak, że wycofywać się zaczynają ze skrajnego czechofilstwa nawet najzaciętsi polscy endecy.

A to znaczy już bardzo wiele!

My, Polacy, nie występujemy pierwsi z agresywnym czynem, bo duch agresji jest (niestety!) obcy polskiej, na ogół ła-

godnej naturze. Całe dzieje Polski, zwłaszcza nowożytne, są wymownym dowodem, że zawsze ktoś nas skubał i to dotkliwie, a my nie umieliśmy jakoś skubać nikogo, popisując się wobec całego świata naszą dziwną ambicją do niezdarnej „pokojowości" i cierpiętnictwa. Ale w danym wypadku, po otrzymaniu srogiej nauki dziejów, byłoby wprost zbrodnią narodową, gdybyśmy przyszli zapóźno do podziału łupu, który nam się ze wszech względów należy.

Od czasu rozpowszechnienia się w Europie heglowskiej tezy filozoficznej o łączeniu się rozprószonych w sąsiadujących tworach państwowych narodów w nacjonalistyczne całości, wszelkie sztuczne dążenia dyplomatyczne lub nawet militarne, usiłujące przeszkodzić poszczególnym narodom do stopniowego łączenia się w całość, są na dłuższą metę zawsze bezpłodnem zamierzeniem. Jeżeli więc uświadomiony aż zanadto o swej spólnocie naród niemiecki — stanowiący największą i najlepiej zorganizowaną potęgę w centrum Europy — dąży obecnie do konsolidacji wszystkich terytorjów, dokoła państwa niemieckiego przez znaczniejsze ilości, ba, miljony Niemców faktycznie od wieków zamieszkałych, to daremną i organicznie głupią byłaby polityka jakiegokolwiek państwa ościennego, któraby usiłowała tak potężnemu narodowi w jego naturalnem dziele konsolidacji na serjo przeszkodzić.

To też wszyscy, prawdziwie rozumni Polacy, pomni na własne ideały wyzwoleńcze i konsolidacyjne z pod jarzma trzech zaborców, nie mogą w głębi duszy nie uznać naturalnego prawa narodu niemieckiego do odzyskania dla jego państwowości tych zgórą trzech miljonów Niemców, zamieszkujących od niepamiętnych czasów zwartą masą zachodnie kresy czeskie.

Mądrze więc przewidujący Polak winien zgóry zgodzić się z tem, co nieuchronnie nastąpić musi i wobec czego wszelka sztuka dyplomatyczna, a nawet groźba militarnego oporu „demokracji europejskiej" musi koniec końcem okazać się bezsilną.

Tak — ale skoro przyjęliśmy i ogłosili w naszym wydawnictwie szereg lat temu, że Anschluss Austrji jest rzeczą nieuniknioną, co się sprawdziło i skoro obecnie głosimy wyraźnie, że Anschluss czechosudecji jest również nieunikniony, to niemniej bezspornym, pozadyskusyjnym jest dla nas postulat, że Polska musi na tym „interesie" także zarobić i to dobrze zarobić. A wszelkie skrupuły i wahania pozostawiamy chwiejnym „słowiańskim" słabeuszom.

Co ma i może Polska przy tem zarobić?

Wbrew głoszonej po faryzeuszowsku zasadzie „jawnej dyplomacji“ po zakończeniu wojny światowej, nigdy przed tem gabinety dyplomatyczne nie były tak napęczniałe straszliwemi tajemnicami, nigdy nie traktowały ogółu obywateli tak pogardliwie jak małolenich dzieci, jak właśnie obecne, niby demokratyczne gabinety powojenne. Niech kto mówi, co chce, my uważamy ten system legendarnych tajemnic dyplomatycznych i utrzymywania narodów w zupełnej nieświadomości dążeń rządów za rzecz niezmiernie szkodliwą. I dlatego z naszej strony, jako przedstawiciele pewnej części uświadomionej, wyżej wykształconej opinji publicznej, nie wahamy się postawić jasno i wyraźnie żądania, że Polska — dotąd zawsze i wszędzie tylko skubana — winna nareszcie przy tym czeskim „interesie“ zarobić.

A więc przedewszystkiem odebrać musi bez żadnej ceremonji zagrabioną przez Czechów część Śląska Cieszyńskiego, odpowiednio zaokrągloną przyległym skrawkiem Moraw, zamieszkałym przez większość polską. Przy tej okazji nie należy zapominać o pewnym okręgu górnośląskim, który — nie wiedzieć na jakiej podstawie — przyznał Czechom masoński traktat wersalski, a który to okręg świetnie zaokrągli nasze województwo śląskie. Bo kto jak kto, ale Czesi nie mają czego szukać na śląskiej ziemi!

Po wtóre musi nastąpić sprawedliwa rektyfikacji na naszą korzyść granicy morawsko - spisko - tatrzańskiej, bo ostatecznie wysokie Tatry są tradycyjnie bez porównania więcej z Polską związane, niż z jakimkolwiek innym narodem, nawet słowackim. Jak to może być, żebyśmy nie mogli ruszać się w Tatrach swobodnie, lecz z ciągłą tylko obawą napotkania w najpiękniejszych zakątkach bagnetu obcego żandarma lub celnika!

Natomiast zdaniem naszem, rdzennej Słowacji tykać nam nie wolno i to dla dobrze zrozumianej polskiej racji stanu. Nie wolno nam tego zrobić nawet w tym wypadku, gdyby Słowacy chcieli rzucić się nam w objęcia. Wprawdzie nasze serce „słowiańskie“ skłania się sentymentalnie ku Słowakom, ale trzeźwy rozum polityczny winien nam dyktować coś innego.

Z samych bowiem Słowaków, przyjaźnią lub przemocą pozyskanych, niewiele nam przyjdzie. Obarczylibyśmy się tylko jedną mniejszością słowiańską więcej i to na zachodzie, gdzie etnograficzna granica nasza musi być specjalnie silną. Nadto zaś i przedewszystkiem zrobilibyśmy sobie śmiertelnych wrogów w Węgrach, którzy przeszliby wówczas z rozwiniętymi sztandarami na stronę niemiecką. Zresztą pamiętajmy niezbite fakta hi-

storyczne, że zaawanturowanie się poza ogólną, naturalną granicę karpacką nigdy nie wyszło na korzyść ani Węgrom, ani Polakom.

Otóż rzecz w tem, że w naszym najżywotniejszym interesie leży trwałe pozyskanie dla ścisłego sojuszu z Polską nie jakiegoś małego narodu pozakarpackiego, ale całego państwa Korony św. Szczepana w szerokiem tego słowa znaczeniu. W interesie Polski leży na serjo jak najściślejszy sojusz z Węgrami, jako z jedynym pobliskim narodem, podobnym nam z temperamentu, politycznie i historycznie — pomijając oczywiście Niemców — najwięcej wyrobionym i z którym łączą nas, poza paru drobnymi konfliktami, najlepsze, najpomyślniejsze dla nas tradycje. Wystarczy wymienić kolejno nazwiska: św. Kinga, Łokietek, Jadwiga, Warneńczyk, Batory i Bem — a zakończyć można odrazu wszelką dyskusję na ten temat.

Ścisły więc sojusz z państwem węgierskim — zbliżony nawet do pewnego rodzaju unji — jest głównem naszem zadaniem. Winny myśl tę popierać w pierwszym rzędzie właśnie te ugrupowania polskie, które najbardziej obawiają się Niemców i najbardziej na nutę słowiańską są nastrojone.

Możemy natomiast wymagać tylko od Węgrów, aby nie popadli z powrotem w swój kardynalny błąd przedwojenny zbyt zaciekłego nacjonalizmu i nie chcieli znowu wszystkich narodowiści w granicach swego państwa madziaryzować. To się dziś już i tak nie powiedzie, a wzburzyłoby tylko wszystkich przeciw Węgrom. I dlatego muszą nowoczesne Węgry z chwilą wypędzenia czeskiego najazdu za Karpaty dać tę samą autonomję Słowakom, którą obiecali im, ale perfidnie nie dotrzymali Czesi. Zresztą sam fakt sojuszu polsko - węgierskiego będzie dla słusznych, autonomicznych aspiracji Słowaków najlepszą gwarancją.

A wówczas okrojeni do swych naturalnych granic Czecho-Morawcy, zrzuciwszy z siebie jarzmo masońsko - bolszewickich rządów, staną przed bezwzględną alternatywą: albo poddać się wpływom niemieckim i stać się posłusznym wasalem Niemiec, jak to było do połowy ubiegłego stulecia, albo wejść w sojusz z daleko liberalniejszą i wolną od wszelkiej zachłannej myśli agresywnej Polską. I wówczas sprawdzi się nasza przepowiednia i szczere życzenie: prezydent rdzennej Republiki czeskiej przyjedzie do Warszawy, mile witany. Ale nie p. Benesz lub

którykolwiek z dzisiejszych mosońskich lub sowietofilskich władców sprowadzonego na manowce czeskiego narodu, lecz prawdziwy wybraniec rdzennie czeskiego, cywilizowanego na modłę chrześcijańską społeczeństwa.

———————

Tymczasem zaś owi naurzuceni narodowi czeskiemu władcy mosońscy, wśród których — jak dobrze wiadomo — nie brak i wprost bolszewickich służalców, wytężają się z płatną propagandą w prasie polskiej, aby utrzymywać naszą opinję publiczną w narkozie i rozdwojeniu na swą korzyść. Niedawno pojawiły się w różnych polskich gazetach długoszpaltowe artykuły, broniące bardzo sprytnie czeskiej sprawy.

Nie możemy uwierzyć, mimo wszelkich pozorów, żeby artykuły te wykoncypowane były samorzutnie, z głębi przekonania, przez polskich publicystów wobec jawnej czeskiej rzeczywistości masońsko-boleszwickiej, wrogiej Polsce, religji i chrześcijańskiej kulturze w każdym calu. Dlatego przypuszczamy stosunkowo mniejsze zło, chociaż też obrzydliwe, że artykuły takie są sowicie opłacane przez czeską oficjalną propagandę. Zapytujemy tylko, czy bezgraniczna w zasadzie wolność drukowanego słowa nie powinna być jednak rozumnie a stanowczo zahamowana tam, gdzie dopuszcza jawną, choć pośrednią propagandę bolszewizmu i innych obcych agentur, których ośrodkiem i reprezentantem jest Praga?

Wyrazić też należy szczere ubolewanie tym wszystkim polskim owieczkom, które w naiwności swej dają się wciągnąć i „instruować“ przez sprytnych Czechów w istniejących wciąż jeszcze u nas stowarzyszeniach polsko-czeskich. Wprawdzie przysłowie twierdzi, że głupota ludzka nie ma granic, ale od współczesnego Polaka można już chyba wymagać, aby nie był całkiem głupi. Jakże drwić muszą ze swych polskich partnerów Czesi, uczestniczący — i de facto rej wodzący — w stowarzyszeniach polsko-czeskich! Niechby się polscy członkowie tych stowarzyszeń spytali wyraźnie swych czeskich komilitonów, ile to dzielnego żołnierza, ile armat, tanków i samolotów gotowi są wysłać Polsce na pomoc w razie wojny z Rosją lub Niemcami? Bo w tem, nie w próżnem zawracaniu głowy, leży główna wartość wszelkiej nowoczesnej przyjaźni między dwoma narodami. Słowiański sentymentalizm to jeszcze strasznie mało, zwłasz-

cza, gdy jest nieszczery i mocno podszyty czesko-moskiewską konspiracją moralnego osłabienia, politycznego okrążenia i w rezultacie zniszczenia Polski.

Sekcja dla spraw zagranicznych
Związku Polskiej Myśli Państwowej.

Pogotowie wojenne i prawo do zarobku

Temat „o wojnie“ jest dziś najaktualniejszym tematem dnia. Niemasz sprawy, któraby ludzi bardziej interesowała. Na każdej konferencji o czemkolwiek bądź, we wszystkich klubach i salonach, na każdym rogu ulicy, po wszystkich warsztatach i chatach prawi się o wojnie — rozbierane są z ferworem możliwości wojenne.

Różnią się pod tym względem ludzie tylko tem, że gdy jedni przewidują wybuch już, już, jutro, to inni odkładają go na rok, dwa lub trzy, a jeszcze inni na lat pięćdziesiąt — dla swych wnuków.

Ale, tak czy owak, wyznać należy, że na ogół społeczeństwo polskie zachowuje suwerenny spokój wobec tych wszystkich gadek i wieści i traktuje wszystkie owe proroctwa wojenne tak niemal, jak każdy inny, nieco większy i przynoszący pewną sensację temat — do rozmowy. Nie znaczy to, żeby publiczność nasza miała rzecz lekceważyć, ale uważa widocznie rolę i siłę naszego państwa i armji za tak wielką i ma, świadomie lub podświadomie, takie zaufanie do czynników, decydujących o ogólnej polityce i obronności kraju, iż nie widać w Polsce takiego zdenerwowania, jakie wybucha aż nadto widocznie z prasy zagranicznej różnych państw i z enuncjacji oraz gestów tamtejszych mężów stanu.

Tak być powinno. Nie bawiąc się w żadne proroctwa z rogu ulicy, czy „wojna wybuchnie“ jutro, czy za lat pięć, czy pięćdziesiąt lub więcej, stwierdzić tylko możemy pochwalnie ogólny, spokojny i pewny siebie nastrój społeczeństwa polskiego oraz — zdaniem naszem — wielkie atuty, jakie poważna a silna, poniekąd neutralna w tem całem europejskiem kotłowaniu Polska ma obecnie w swem ręku. Prawda, że jesteśmy państwem, na wszystkie niemal strony eksponowanem, ale prawda również, że nie tylko naszym przyjaciołom, ale i niejednemu

z naszych przeciwników zależy na tem, aby w razie czego mieć Polskę neutralną lub po swej stronie.

A tymczasem — jak dobrze wiadomo i co zresztą głosimy od kilku lat niemal w każdym numerze tego wydawnictwa — rośnie dokoła Polski, na północy i południu, blok państw „środkowo - wschodniej Europy", na razie w postaci poszczególnych porozumień z mniejszemi państwami, ale który, miejmy wszelką ufność, rozszerzy się różnemi drogami i okrzepnie w końcu w pożądanej spoistości i formie.

Co więcej, powtarzamy tu nawet wyrażoną już niejednokrotnie poprzednio nadzieję, że w końcu i wrogie nam dotąd Czechy pójdą po rozum do głowy i wykonawszy pewne niezbędne warunki, o których wspominaliśmy nieraz, zwrócą się z wyciągniętą ręką ku Polsce.

W całej tej sytuacji, która jest, ogółem biorąc, dla Polski korzystna, na trzy rzeczy musimy zwrócić uwagę, gdyż zastosowanie ich z większym, niż dotąd się działo, naciskiem, przyśpieszy wzmocnienie owego „pogotowia wojennego", o którem wszyscy prawią.

Pierwsza z nich, to ogólne hasło, które stanowi od dawna specjalność naszego wydawnictwa, mianowicie: psychiczna przemiana wychowanego w długich latach niewoli ducha defensywy na ducha ofensywy narodowej. Pod wyrazem zaś „ofensywa" wcale nie mamy na myśli chwytania za broń i grożenia agresją wszystkim sąsiadom dokoła — lecz tylko śmiałą inicjatywę i nieustraszoną gestję wszelkich spraw polskich we wszelkich dziedzinach, nie na ostatniem miejscu także i w gospodarczej.

Bo faktycznie Polak, będąc niejako urodzonym żołnierzem, daleko mniej obawia się śmierci na polu bitwy, niż pionierskiej inicjatywy w polityce i gospodarce. Nie boi się armaty, lecz boi się zainwestowania swego kapitału i śmiałego pójścia do ataku ze swym pieniądzem, tradycją i kulturą.

My nauczyliśmy się wciąż tylko się bronić, wyraz „obrona" stał się u nas nagminnym i stąd właśnie zachowujemy się z nawskroś błędną defensywą wobec wszelakich mniejszości narodowych, wobec obcego kapitału, obcej inwazji kulturalno-politycznej lub „obcych agentur". A przecież takie np. wyrażenia, jak często powtarzane hasła „obrona kresów przed Ukraińcami" lub „obrona innych kresów przed Niemcami" są same w sobie nieco śmieszne, skoro przecież rządy państwa są w naszem ręku i raczej już mniejszość ruska lub niemiecka mogłyby

powtarzać takie hasło obrony przed naturalną ekspansją polskości w obrębie naszych granic, a gdzie niegdzie nawet i poza nasze granice! To byłoby naturalnem i to też w gruncie rzeczy nie tylko nie odstręczałoby od nas mniejszości narodowych — oczywiście przy stosowaniu przez nas zasad sprawiedliwości — ale wręcz przeciwnie, przyciągałoby je do Polski i jednało dla idei naszej państwowości, gdyż wszelka spokojna, sprawiedliwa, a pewna siebie siła zawsze słabszym imponuje i wywiera na nich mimo woli moc atrakcyjną.

Dlatego nabrać winien nasz naród, przy całym spokoju i rozwadze w postępowaniu, owego ducha zdecydowanej ofensywy na wszelkich polach, która polega na śmiałem rozpychaniu się łokciami w każdym kierunku i przez to właśnie odsuwa ewentualność zbrojnych konfliktów. Bo wiadoma rzecz, że ludzie i rządy tylko z silnymi się liczą i ustępują prawie zawsze przed spokojnie — zdecydowaną postawą.

Ten duch „ofensywy", jak go tu rozumiemy, objawia się już właśnie wśród szerszych sfer społeczeństwa przynajmniej na polu eskontowania przez nie już dziś różnych „zdobyczy wojennych", jakie Polska w razie czego winna uzyskać. Jakkolwiek przedwczesne i naiwne są nieraz postulaty tego rodzaju, które ucho obserwatora wychwytać może z wyżej wspomnianych rozmów „na rogu ulicy", to jednak są one w każdym razie zdrowym objawem. Nigdy nie słyszymy w tych rozmowach, że Polska będzie zmuszona coś oddać, ale wprost przeciwnie: że Polska musi to lub owo zabrać. A więc zrobiło już społeczeństwo nasze w nastawieniu swem bardzo znaczny krok naprzód od mentalności tych, którzy ongiś sprzeciwiali się tworzeniu polskiego żołnierza w czasie wojny światowej, a potem — mimo druzgocącego zwycięstwa naszego nad Moskwą — zawarli haniebnie — tchórzowski traktat z pokonanym wrogiem, zatwierdzony niestety także i przez ówczesną prawicę ultra-demokratycznego sejmu. O czemś podobnem dzisiaj na szczęście mowy już u nas być nie może.

Druga sprawa — w której zakresie wiele się już w Polsce myśli, mówi i robi — to rozwój gospodarczy. Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że i pod tym względem nie idziemy naprzód. Uderzają w nasz aparat gospodarczy coprawda różne kryzysy, dłuższe lub krótsze, ale to dzieje się wszędzie i na to jesteśmy już od lat nastawieni. Człowiek przyzwyczaja się w końcu do wszystkiego i normuje swą linję życiową według

faktycznych możliwości. Ale jedną rzecz winno tu jeszcze powiedzieć sobie społeczeństwo, a drugą rząd.

Społeczeństwo, a zwłaszcza owe perorujące wciąż o wojnie sfery gospodarcze, winny na podstawie dostatecznej już nauki dziejowej zrozumieć, że jeżeli jakiemuś państwu grozi w ich wyobraźni — słusznej czy niesłusznej — konflikt zbrojny w bliższej lub dalszej perspektywie, to nie tylko nie należy kurczyć produkcji, handlu i operacyj finansowych, ale wręcz przeciwnie, z jak największym rozmachem życie gospodarcze rozwijać. Jest to niezbędnem zarówno dla wzmożenia uzbrojenia kraju, jak i dla gromadzenia zapasów i ogólnego rozwoju dobrobytu, który zawsze i wszędzie niemało zaważał na pomyślnem prowadzeniu wojen. Stając więc już nawet na stanowisku tych, którzy już dziś ze wszystkich kątów wietrzą wojnę i kreślą na jutro nowe mapy Europy, to musimy uznać, że jak największy rozmach gospodarczy jest nie tylko przed wojną wskazany, ale i po wojnie daleko prędzej goi zniszczenie, niż kurczenie się na każdą, pierwszą lepszą plotkę o „wojnie europejskiej" i unieruchamianie swej pracy, pieniądza i kredytu.

Stąd też ostro potępić należy pewne, na szczęście bardzo rzadkie wypadki z ostatnich czasów — gdzie kupiec czy bankowiec wymawiał się od proponowanych przez klijentelę normalnych interesów tchórzliwym i na wskroś błędnem argumentem „niebezpieczeństwa wojny". Im mniej tak myślących ludzi gospodarczych w Polsce, tem lepiej.

Rząd natomiast — a właściwie pewne w nim czynniki, o które w danym zakresie chodzi — winny po dwudziestu latach praktycznego doświadczenia w niepodległym państwie dojść wreszcie do bezdyskusyjnego przeświadczenia, że nie wolno podporządkowywać gospodarstwa krajowego nadmiernie wybujałym w obecnej dobie doktrynom i eksperymentom socjalnym.

Wszak postęp uprawnień społecznych osiągnął obecnie już wszędzie, a zwłaszcza u nas taki szczyt rozwoju, że grubo już przeholował i nie tylko nie przyczynia się do wzmożenia ogólnego dobrobytu i zachęty do pracy, lecz przeciwnie staje się coraz większym ciężarem. To też o ile na podatki państwowe, a zwłaszcza na koszta dozbrojenia nie słychać u nas żadnych skarg, gdyż każdy rozumie, że niepodległe państwo musi kosztować, o tyle mnożą się skargi we wszystkich sferach, bez wyjątku, na nadmiernie rozwinięte świadczenia socjalne i na politykę cen.

Polska jest i pozostanie długo jeszcze krajem przedewszystkiem rolniczym, a wydajność tego rolnictwa zależy w naszych warunkach społeczno-kulturalnych w wysokim stopniu od średniej własności. Dlatego wszelkie przymusowe eksperymenty z tą własnością i wszelkie, z socjalno-demagogicznych względów naciskanie na ceny płodów rolnictwa niżej kosztów opłacalności nie tylko niszczy rolnictwo, ale kruszy również opłacalność przemysłu i handlu, które są w Polsce z losami rolnictwa nierozerwalnie związane.

Stąd wynika jasno, jak na dłoni, że każdy rząd, jakikolwiek przynosi on ze sobą program i przekonania, winien prostolinijnie, objektywnie wspomagać naturalną, niezbędną opłacalność rolnictwa, odsuwając na bok wszelkie sztuczne zamierzenia socjalne, już i tak w Polsce aż nadmierne. Winien wogóle starać się o wzmocnienie prawa własności i naturalnego prawa jednostki do możliwie obfitego zarobku za swą pracę. To rozwiąże kwestję socjalną i problem bezrobocia daleko prędzej i łatwiej, niż wszelkie sztuczne, pod przymusem stosowane sposoby.

Piszemy to — może niesłusznie — pod wrażeniem uporczywie utrzymujących się wieści, jakoby planowane były w miarodajnych miejscach zamiary presji na ceny zboża w obecnym okresie, gdy urodzaje dobrze się zapowiadają, a rolnictwo, przy skromnych, ale jakich takich cenach, może mieć nadzieję opłacalności i jakiegoś wreszcie zarobku. A od tego zależą bezpośrednio opłacalność i zarobek całego życia gospodarczego. Ostrzegamy więc, póki czas, aby naturalnemu rozwojowi gospodarczemu pozostawić swobodę, gdyż żadnej nie ulega wątpliwości — o czem już nieraz była mowa w kraju wśród sfer poważnych — że między dobrym zarobkiem i ogólnym dobrobytem, a zdolnością obronną państwa na dłuższą metę zachodzi niewątpliwy związek.

A są to wszystko sprawy, dające załatwić się odrazu i dające natychmiastowy, pomyślny rezultat — i stąd też nie wahamy się je wysunąć.

Trzecia sprawa — do której zawsze i wszędzie z obowiązku wracać musimy — to pamiętna przestroga ś. p. Marszałka Piłsudskiego przed obcemi agenturami. Sprawa ta wiąże się w wysokim stopniu z dziełem konsolidacji narodowej, do którego realizacji wciąż się dąży.

Dąży się, nie zdając sobie jednak dostatecznie sprawy, że bez gruntownego stłumienia panoszących się wszędzie wro-

gich nam mocy, ani prawdziwy rozwój gospodarczy, ani jakakolwiek szczera konsolidacja narodowa nie są możliwe. Obce agentury bowiem dążą właśnie wszelakimi sposobami do tego, aby Polskę ekonomicznie i społecznie za wszelką cenę osłabić ustawicznem sugerowaniem haseł radykalno-socjalnych w życie gospodarcze, oraz jątrzyć i rzucać przeciw sobie poszczególne warstwy i polityczne odłamy narodu polskiego, nie mówiąc już o wichrzeniach i konspiracjach w łonie naszych mniejszości narodowych. Kto więc pragnie na serjo rozwoju dobrobytu i konsolidacji wśród obywateli państwa polskiego, a zwłaszcza ten, kto prawi o możliwościach wojennych, winien z jednej strony starać się o ulżenie życiu gospodarczemu i powiększenie prywatnego społecznego dochodu, z drugiej zaś o zgniecenie wszelkich wpływów obcych agentur, które wichrzą w kraju i które radeby z zagranicy wciągnąć Polskę w awantury wojenne.

Ale największa nadzieja, jak to już raz stwierdziliśmy dobitnie na tych łamach, kieruje się w stronę dziedzicznej Marszałkowskiej Buławy. Jeden tylko winien być Marszałek Polski w państwie i jeden też jest na szczęście w tej chwili. Do niego, do zdecydowanego gestu jego buławy, kierują się wszystkie oczy, nawet oczy tych, którzy nie podzielają prywatnych poglądów politycznych Marszałka.

W obecnych warunkach wewnętrznych Polski jeden zdecydowany, samorzutny, wolny od wszelkich wpływów postronnych gest Marszałkowskiej Buławy, przynoszący nareszcie ulgę i wskazujący rozumny, rdzennie polski kierunek naszemu społeczeństwu, znaczy więcej, niż kilka tysięcy armat i kilka miljonów bagnetów, a już kolosalnie więcej niż wszelkie cudotwórcze programy, rozgrywki, walki i wrzaski polityków, ekonomistów i demagogów - uszczęśliwiaczy. Znaczy więcej, niż jakakolwiek w pocie czoła wymędrkowana ustawa, niż jakiekolwiek rozpaczliwe sztuki „konsolidacyjne" rozwichrzonego doktrynami społeczeństwa.

Ta Marszałkowska Buława, jedyny symbol, w który ludzie dziś jeszcze wiarę pokładają i od którego jakichś zdecydowanych, odważnych i korzystnych dla ogółu czynów się spodziewają, jest w istocie także jedyną bronią, która może zapoczątkować skutecznie rozbicie wichrzeń obcych agentur. A gdy taki zdecydowany, niewzruszony w swych konsekwencjach gest nastąpi, to wprawdzie zapienią się chwilowo z wściekłością różne kliki obcych agentur i ich niewolników, ale zato za Mar-

szałkiem Polski pójdzie bezwzględnie cały naród, bez potrzeby sztucznych wysiłków konsolidacyjnych.

Sekcja walki z obcemi agenturami
Zw. Polskiej Myśli Państwowej.

„C z e c h o g e r m a n j a“

Od p. Franciszka Ungera, doskonałego znawcy stosunków u naszych miłych „słowiańskich braci“ na południowym zachodzie, otrzymujemy znowu bardzo charakterystyczny przyczynek do dziejowej mentalności czeskiej. Naprowadza nas to na pewien bardzo ważny, wielce aktualny i doświadczeniem dziejowym dyktowany wniosek — ale najpierw oddajemy oczywiście głos Autorowi.

Niespodziewane zajęcie Austrji przez Hitlera podziałało jak piorun z jasnego nieba na naród czeski, który jego lewica — ze względu na jego znane tchórzostwo — karmiła od początku blagą o rzekomej pomocy Ligi Narodów, Francji, Małej Ententy, wreszcie i Sowietów, aby podnieść jego ufność w egzystencję Czecho-Słowacji, spadłej narodowi czeskiemu jak manna z nieba.

Naród czeski nie odznaczał się nigdy siłą i hartem ducha, to też wpajanie w niego fałszywych urojeń tego rodzaju dokonało swego, naród czeski zmalał obecnie w oczach, wyczekując oficjalnie pomocy Francji i Sowietów, ale mając w praktyce na myśli już tylko „pomoc“ sowiecką. Demoralizacja, „szwejkostwo“ i całkowity upadek ducha święcą swe orgje, gdyż panuje wśród Czechów ogólna panika na tle rzekomo gotującej się napaści militarnej ze strony Rzeszy niemieckiej.

Na tę ogólną panikę wskazał niedawno w swoim odczycie prof. uniw. dr. Tvrdy, Czech, nie tając się ze swoim pesymizmem, iż nastrój taki nie wróży nic dobrego dla przyszłości Czechosłowacji, gdyby nie udało się rządowi praskiemu w jakiś sposób go pokonać (Slovensky Denik, nr. 71, 1938).

Również czeskie koła oficerskie na pewnem swem walnem zebraniu, wskazały z nietajoną troską na niebezpieczeństwo, wypływające z takiej masowej psychozy paniki wśród ludności, z której przecież wychodzą żołnierze. Mogą więc łatwo ulec

jej niezdrowym wpływom, co oznaczałoby wprost katastrofę dla państwa czeskiego (Lidove Noviny, nr. 154, 1938).

Ostatnio ostrawskie „Poledni Ceske Slovo" (nr. 114, z 17-go V, 1938) przyniosło cały artykuł przeciw „licznym tchórzom", którzy poprostu zatruwają opinję publiczną swem nader pesymistycznem nastawieniem i psują wszelkie najlepsze zamiary władz bezpieczeństwa.

Prasa czeska notuje dzień po dniu liczne wypadki, których bohaterami są Niemcy, wypędzający Czechów z posad, rozbijający czeskie pomniki, bojkotujący czeskich kupców i przemysłowców i t. d. Wręcz odwrotnie zachowują się Czesi, ustępując krok za krokiem niemieckiemu naporowi. Ołomuniecki „Nasiniec" (nr. 92, z 21.IV,1938) notuje np. taki charakterystyczny wypadek z niemieckiego szkolnictwa. W akademji handlowej w Karlsbadzie oświadczył pewien uczeń, Niemiec, profesorowi języka czeskiego: „Nie mówię i nie uczę się więcej po czesku, ponieważ stan dzisiejszy już i tak długo nie potrwa". Uczeń ten siedział w czasie tej odpowiedzi, a na wezwanie profesora, aby przynajmniej wstał, wymierzył profesorowi policzek.

Prasa czeska wciąż biada, iż uczniowie szkół niemieckich wszędzie biorą udział w demonstracjach antyczeskich. O Czechach natomiast donosi np. ostrawski „Polednik Denik" (nr. 80, z 6.IV, 1938) co następuje: „W ostrawskich kawiarniach i sklepach następuje niespodziewana zmiana. Kelnerzy i kupcy spostrzegają ze zdziwieniem, że goście i klijenci, których znali od chwili przewrotu jako Czechów i którzy zawsze przemawiali do nich po czesku, nagle, od niedawna, mówią systematycznie i z zuchwalstwem tylko po niemiecku, a na język czeski wogóle już nie reagują".

Pismo to podkreśla przy tem jeszcze, że chodzi tu o stuprocentowych Czechów! Praski „Poledni List" (nr. 109 z 20-go IV, 1938) donosi zaś, że tak dzieje się wszędzie, na całym terenie republiki czeskiej, najbardziej notabene w licznych miastach Czech, Moraw i Śląska, A pismo to akcentuje specjalnie, że chodzi tu również o ludzi, którzy po przewrocie (t. j. po powstaniu „Imperjum Czechosłowackiego" na podstawie traktatu wersalskiego) uchodzili za „stuprocentowych" patrjotów Czechów!

Ołomuniecki „Nasiniec" (nr. 97 z 27-go IV 1938) notuje i takie wypadki, że obywatele zgłaszają się do czeskich władz o wydanie im zaświadczenia, że nie są Czechami, lecz Niemcami!!

Bywają nadto i takie wypadki, że rdzenni Czesi, z obawy

przed utratą posady, gdy Hitler wkroczy do Czech — i to Czesi, zatrudnieni w czeskiej firmie i czysto czeskim mieście Ołomuńcu — wpisują się zawczasu na członków do hitleryzującego obozu Henleina, chociaż miasto Ołomuniec nie leży wcale w okręgu aspiracyj wszechniemieckich (Nasiniec nr. 111 z 13-go V, 1938). Redakcja tego pisma odpowiada na to słusznie, że wobec takiego postępowania wyrażenie „zdrada narodowa" jest za słabe, gdyż jest to już wprost „moralne zdziczenie" u takich Czechów!

Czesi więc zachowują się dzisiaj już tak, jakgdyby we własnem państwie nie byli gospodarzami i panami sytuacji, lecz Hitler czy Henlein. Nic dziwnego, że Benesz — najlepszy znawca tchórzowstwa swych ziomków — wciąż jeździ i „krzepi" ducha w pogrążonych w zwątpieniu swych rodakach. Niedawno nawoływał w Taborze, aby nie bać się nadciągającej burzy (Moravskoslezsky Denik, nr. 140 z 22-go V-1938).

Gdy czeska propaganda karmi zagranicę, a zwłaszcza Anglików, buńczucznem twierdzeniem, że „Czesi wolą raczej zginąć, niż poddać się hegemonji niemieckiej" (Poledni Denik, nr. 116 z 19-go V, 1938), to w kraju władze czeskie są w największej rozpaczy na myśl, iż rzeczywiście mogłoby dojść do walki i przypieczętowania drogą wojny tego, co zagrabili resp. otrzymali Czesi po wojnie światowej. Cały wysiłek Benesza, premjera Hodży i innych władz czeskich idzie obecnie w tym tylko kierunku, aby naród czeski nie popadł w całkowity defetyzm. I prawdę mówiąc, nie wiele mu już brakuje do tego stanu!

Wszak dochodzi do takich wypadków, że legjonarz czeski przemawia na wiecu publicznym po niemiecku do czeskich socjalistów (Poledni List, nr. 122 z 3-go V, 1938), a redaktor organu „narodowych" socjalistów czeskich „A-Zetu", nosi demonstracyjnie oznakę niemiecką na wiecu Henleina (Poledni List nr. 131 z 12-go, V, 1938).

Stronnictwo to — czeskich narodowych socjalistów — drukuje część swoich pism w języku czeskim, a część w niemieckim, katolickie zaś stronnictwo ks. Szramka wydaje także niemieckie ulotki w słowiańskiej Pradze (Venkov, nr. 116 z 18-go V, 1938) p. t. „Katoliken Gross - Prags"! „Poledni List" (nr. 139 z 20-go V, 1938) podkreślać musi, że panuje obecnie taki bigos, iż „z czeskiego marksisty stają się henleinowcem nie tylko prości ludzie, lecz i niektórzy wybitni Czesi". W Planej nawet inspektor szkolny, niejaki Kolaryk, stał się „Urgema-

nem„ pod wpływem ostatnich zajść, choć pochodzi z czysto czeskiej rodziny (Poledni List, nr. 138 z 19-go, 1938). W śląskiej Ostrawie (dawniej Polskiej, a nie Śląskiej!) dr. Kania, Czech, stanął na czele listy kandydackiej zwolenników Henleina przy ostatnich wyborach do gmin (Poledni Denik, nr. 118 z 21-go V, 1938).

Praskie „Ceske Slovo" (nr. 119 z 21-go V, 1938) powiada, że obecnie doszło już do tego w Czechach, iż niemieckie stronnictwo lewicowe — socjaldemokracja — zachęca Czechów, aby jednak bardziej energicznie bronili swych interesów. Dodaje „Ceske Slovo" do tego z rozczarowaniem; „Nasi wnukowie będą kiedyś czytali z przerażeniem, że aż Niemcy sami prosili, aby sprawa narodu czeskiego nia została wydana przez Czechów na zatracenie".

Jeszcze niedawno za wnoszenie okrzyków „Heil Hitler" lub witanie się przez hitlerowskie podnoszenie rąk skazywały sądy czeskie na grzywny i areszty wyłącznie tylko Niemców. Obecnie śpieszą zdobyć na takiej podstawie zasługi w oczach Niemców także i Czesi. Szkalują własne państwo i własny naród publicznie tacy ludzie, jak Fryderyk Peroutka (Narodni Politika, nr. 92, 1938) Franciszek Calik (Narodini Politika nr. 99, z 10-go IV, 1938), miejski urzędnik Franciszek Dosoul w Ołomuńcu (Nasiniec, nr. 96, 1938), dalej Fryderyk Vlach (Narodni Politika, nr. 114, 1938) i t. d. — a więc rdzenni Czesi, usiłujący zawczasu przypodobać się Niemcom.

W Opawie po ciężkich walkach udało się Czechom przeforsować na urzędnika magistratu Czecha, Karola Klapetka, który ukończył szkoły czeskie i jest synem czeskich rodziców. Po nominacji swej przysiągł wierność narodowi czeskiemu, że go nigdy nie opuści, ani nie zdradzi. Otóż obecnie, jak donosi „Poledni List" (nr. 129, 10-go V, 1938) p. t. „Opawski Judasz" — nasz miły Czech, Klapetek, przystąpił już jako „Urgermane" do obozu Henleina. W Duchcowie drugi wiceburmistrz, były legjonarz R. Stetina, oświadczył na posiedzeniu magistratu, że „wszyscy członkowie stronnictwa obywatelskiego (trzeba rozumieć: czeskiego) przystępują gremjalnie do obozu Henleina" (Moravskoslezky Denik, nr. 123 z 25-go V-1938). Pismo to, donosząc o tem, zarzuca jeszcze specjalnie pewnemu pocztowcowi, F. Janecky'emu, który tak samo postąpił, zapominając, iż poprzednio był duszą czeskiej akcji w Duchcowie.

„Narodni Politika" (nr. 132, z 14-go V - 1938) donosi o takich kupcach, którzy nocną porą „poprawiali" swe szyldy

firmowe, zacierając elegancko wszelkie ślady czeskości własnego nazwiska (!!) i czeskości swych firm*). Nic dziwnego, że w takich wypadkach Niemcy kpili sobie z takich Czechów, chodząc w samo południe ze świeczką lub lampą przed wejściem do tych sklepów i na zapytanie przechodniów „czego szukają na ziemi?“ odpowiadali kpiącym tonem, iż szukają... zgubionych kresek i innych gramatycznych znaczków na czeskich nazwiskach, zaginionych w ciągu jednej nocy.

Skarży się prasa czeska i na to, że w czasie narodowego święta niemieckiego wielu Czechów wywiesiło henleinowskie sztandary (Poledni List, nr. 123 z 4-go V, 1938). Henleinowcy agitują obecnie i wśród bezrobotnych Czechów, obiecując im zajęcie „w krótkim stosunkowo czasie“ (Es kommt der Tag!), jak donosi o tem również praska „Narodni Politika“ (nr. 116 z 28-go IV - 1938) w artykule p. t. „Henleinowcy werbują i między Czechami“.

Pod wrażeniem takich objawów czeskiej niewiary i nieufności w swe własne siły i w tężyznę własnego narodu, nie może dziwić, iż czescy i słowaccy obywatele dawnej Rosji nie taili się na niedawno odbytem posiedzeniu z takiem przekonaniem: „Henlein odnosi zwycięstwo nad Masarykiem!“ (Poledni List, nr. 125 z 6-go V, 1938). Że odnosi zwycięstwo i nad Beneszem, tego Poledni List nie ważył się napisać ze względu na surową cenzurę i odpowiedzialność sądową.

Zawiodła więc w krytycznym momencie cała ta kolosalna blaga odwieczna, zainscenizowana i faworyzowana swego czasu przez Masaryka, tak dalece, że obecnie nad zdemoralizowanym do szpiku kości narodem czeskim odnosi łatwe tryumfy pan Henlein!

Po tem wszystkiem nie można się dziwić szczerości „Nasinca“ (nr. 120 z 24.V, 1938), który aż westchnął z wielkiej radości wskutek chwilowego „odprężenia“ w niebezpieczeństwie, mającym zagrozić Czechom: „Czechosłowacka ludność odetchnęła głęboko“. Bo Czesi na razie nie muszą walczyć, nie muszą

---

*) Niechże nasi polscy, zacietrzewieni czechofile (przeważnie nieprzytomni endecy) zechcą wyobrazić sobie na chwilę, czy kupcy i przemysłowcy polscy postąpiliby w podobny sposób ze swemi nazwiskami i firmami, gdyby nam nawet jakieś niebezpieczeństwo niemieckiej lub rosyjskiej inwazji miało na serjo grozić? Z tego jednego objawu możemy już bezdyskusyjnie wywnioskować, z jakim to „bratem słowiańskim“ mamy do czynienia w narodzie czeskim. Gratulujemy z ubolewaniem zacietrzewionym polskim czechofilom! (Przyp. Redakcji).

wojować za swą niepodległość, to też takie „głębokie westchnienie“ czy odetchnienie jest u nich zupełnie na miejscu.

Prasa czeska pisała wprawdzie z wielką radością o demonstracjach, jakie Czesi urządzili przeciw Niemcom w Bernie. Ale nie wspominała o istocie rzeczy, że były to mianowicie demonstracje przedewszystkiem komunistyczne i wogóle lewicowe, niż narodowe i patrjotyczne i że wznoszono tam okrzyki: „Wolimy być raczej kolonją sowiecką, niż niemiecką!“ (Morawska Orlice, nr. 120 z 21-go V, 1938).

Wierzymy chętnie, że Czesi — i jako husyci i jako sowietofile — wolą być raczej kolonją sowiecką!!!

Prasa czeska żali się przy tem na bezczynność narodową „postępowych“ (czyli w istocie zbolszewizowanych) nauczycieli czeskich, działających na niemieckich kresach Czecho-Słowacji*). „Poledni List“ (nr. 137 z 18-go V, 1938) przytacza np. wiadomość, że w miejscowości Hostinne na ogólną ilość jedenastu czeskich nauczycieli jest tylko jeden z nich członkiem Narodowej Jedności, drugi członkiem Tow. Oświaty, reszta zaś woli nigdzie się nie angażować, widocznie dlatego, żeby mostów za sobą nie palić.

Gdzie indziej żali się prasa czeska i na to, że czeski nauczyciel ucieka z kresów byle tylko nie doczekać się nadchodzącej tam burzy.

Gdy w Ostrawie Śląskiej (dawniej w Ostrawie Polskiej) wysunęli Niemcy w niedawnych wyborach jedną tylko listę wyborczą Henleina, to Czesi poszli rozbici na jedenaście list kandydackich — i to po wielkich manifestacjach i wielkiej propagadzie na rzecz „zgody i jedności“ (Narodni Politika, nr. 135 z 17-go V - 1938). W samej Pradze znaczną większość głosów oddano na stronnictwo komunistyczne, będące obecnie drugiem najsilniejszem stronnictwem w Czechach, a po niem na stronnictwo „Narodowych socjalistów“ czeskich Klofacza, które jest również sowietofilskie i wchodzi w skład pracującego za kulisami czeskiego „frontu ludowego“.

Jakżeż więc dziwnie kontrastują te wszystkie realne dane z „informacjami“ prasy francuskiej, która — np. „Le Jour“ (z 24-go III, 1938) — głosi takie humorystyczne bzdury: „Pra-

---

*) No, pod względem nastrojów i przekonań masońsko-bolszewickich różnych sfer nauczycielskich, chełpiących się „postępowością“ za wszelką cenę i grasujących dotąd z temi przekonaniami bezkarnie wśród młodzieży, mogłoby patrjotycznie myślące społeczeństwo w pewnym sąsiadującym z Czechami państwie także niejedno powiedzieć! (Przyp. Red.).

ga jest zdecydowana, że armja da się raczej zdziesiątkować, niż miałaby ustąpić przed pierwszym naporem niemieckim!"

Pismo francuskie wmawia więc tu Czechom swe własne pobożne życzenie. Biedni Francuzi, biedna prasa francuska z jej „autentycznemi informacjami", jeśli dojdzie do konfliktu w Europie na czeskim odcinku! Biedną, trzykroć biedną jest Francja, jeżeli jej bezpieczeństwo ma być zależnem od „waleczności" czeskiego narodu!

Wszak sami Czesi prawią już o końcu swej republiki, uważając sytuację swą za absolutnie beznadziejną i wszelki opór Niemcom za bezcelowy, a tymczasem prasa francuska — prasa wiecznie źle orjentującego się w sprawach zagranicznych francuskiego rentjera — jest wciąż taka, jaką zawsze była: naiwno- optymistycznie nastawioną co do rzekomej tężyzny i waleczności czeskiego narodu.

Na tle czeskiego pesymizmu zdarzył się niedawno taki zabawny wypadek. W Bernie morawskim sąd wojskowy rozpatrywał sprawę dezertera, Czecha, niejakiego Ferdynadna Vosicka, który miał już parę ładnych lat twierdzy za sobą. Obecnie sąd dodał mu jeszcze 13 miesięcy. Gdy prezes sądu oświadczył zasądzonemu dezerterowi, że mimo odsiedzenia szeregu lat w więzieniu za dezercję, będzie musiał wysłużyć w armji czas przepisany mimo swych 40-tu lat, odpowiedział mu Vosicek z uśmiechem i jak gdyby z politowaniem: „O to nie mam najmniejszej obawy, gdyż do tej pory będzie już napewno koniec ... świata". (Morawska Orlice, nr. 96 z 23-go IV, 1938). Ten „koniec świata" miał w ironji dezertera oczywiście znaczenie końca republiki czeskiej.

Mając sporo jeszcze podobnych danych w ręku, śmiało mogę twierdzić, że Czesi już przegrali na wewnętrznym froncie walkę z Niemcami. A przecież nie padł jeszcze ani jeden strzał ze strony Niemiec. Co byłoby, gdyby rzeczywiście doszło do poważniejszego konfliktu Czechów z Niemcami? Oczywiście maszerowaliby Czesi z kapelami na czele do obozów jeńców, jak to ów czeski generał oświadczył swego czasu francuskiemu dziennikarzowi Bainville'owi: „Nie będę miał nawet czasu przebrać się, a już będę w niewoli!"

Franciszek Unger.

DODATEK OD REDAKCJI. Jak sobie rząd i naród czeski pościelili, tak się wyśpią. Wszelkich sztuczek użyli, poczynając od osławionego podnoszenia rąk na froncie w czasie

wojny światowej, a kończąc na obrzydliwej zdradzie wszystkiego i wszystkich, aby tylko samobójczym systemem masońsko-bolszewickim swe „podkarpackie imperjum“ zbudować. Teraz zwolna stają sprytne Pepiczki wobec naturalnej sytuacji spłacenia swych fałszowanych weksli.

Powiada dobre polskie przysłowie: Kłamstwem świat przejdziesz, ale czy wrócisz? Otóż Czesi, a raczej czescy masońscy spryciarze przeszli istotnie kłamstwem i blagą świat cały, przez Paryż, Londyn, Amerykę i Syberję, aż z powrotem do Pragi, ale tu, po dwudziestu latach kolosalnego oszustwa i zabawy w masonerję, moskalofilizm i mocarstwowość, nadchodzi moment, gdy będą musieli wobec najbliższych sąsiadów dokładnie się wyrachować. Polacy i Węgrzy mają z Czechami ciężkie porachunki, a jakie mają z nimi Niemcy, to już ich sprawa, do której mieszać się nie będziemy, bo musimy nasze własne weksle w Pradzie zaprezentować.

Ale w tej chwili, w związku z tak źródłowym artykułem Autora, inna sprawa nasuwa nam się przedewszystkiem przed oczy — rzecz o głębszym historycznem znaczeniu dla niefortunnego czeskiego narodu.

Oto, od czasów pokonanego przez Rudolfa habsburskiego króla czeskiego Ottokara zakończyła się właściwie samodzielna historja czeskiego narodu, który wszedł w skład Rzeszy niemieckiej. Wszedł w jej skład tak dalece, że chwilowo bywała Praga nawet faktyczną — choć może nie formalną — stolicą „cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego“. I mimo wszelkich chwilowych porywów niepodległościowych, przeważnie jednak na tle religijnem, mimo wszelkich przejawów „narodowego odrodzenia“ — np. w XIX w. pod wpływem akcji Fleka i innych — pozostały Czechy (Böhmen) politycznie i w znacznej części także ideowo częścią składową Rzeszy niemieckiej, a potem monarchji austrjackiej. My, Polacy, zwłaszcza Polacy z dawnej Galicji, wiemy coś o tem i to bardzo dotkliwie. Bo najgorszymi germanizatorami Galicji byli w pierwszym rzędzie urzędnicy czescy. O żadnem „braterstwie słowiańskiem“ wówczas się Czechom nawet nie śniło.

Ten fatalizm dziejowy oraz wzorowana na staro-germańskiej bezwględności brutalność czeska — zgoła odmienna od wszelkiej słowiańskiej mentalności, a przewyższona tylko przez prusaka Bismarka i moskala Murawiewa — sprawiła w ostatecznym rezultacie ewolucji sześcio-wiekowej, że współcześni Czesi

podtrzymują się narodowo już tylko zastrzykami doktryn wywrotowych, wręcz ateistycznych, a więc bolszewizmem, judeo-masonerją i modernistycznym husytyzmem, a w najgłębszej istocie rzeczy są w dalszym ciągu poddanymi ideologji „Rzeszy niemieckiej“ i bardziej nam obcymi, niż sami rdzenni Niemcy.

Bo prawdziwa kultura niemiecka — choć co do agresji niemieckiej bynajmniej się nie łudzimy — odzywa się jednak do nas nieśmiertelnymi dziełami Goethego, Schilera i Beethovena i wielu innych pierwszorzędnych pionierów kultury i wiedzy, podczas gdy pseudo-kultura czeska, nastrajająca sztucznie i nędznie niemieckie pierwiastki na nutę moskiewską, pozostanie nam zawsze obcą, a nawet wrogą. I mogą „mit Hängen und Würgen" padać przed nią plackiem tylko „zaplute“ a nieprzytomne endeki, które w bezprzykładnej w dziejach polskiego narodu naiwności i nieprzytomnym uporze oddają się złudzeniom (vide p. Stroński w Kurjerze Warszawskim), iż dzielne zastępy potomków czeskiego Przemysława ruszą na ratunek redakcji cytowanego Kurjera w miljonowych zastępach „słowiańskich“ przeciw „hordom germańskim“, które zagrażają posadom i pensjom redakcyjnym w cytowanym Kurjerze.

Ale historja ma swoje żelazne prawa. Tu żadne partyjno-dziennikarskie koziołki nie pomogą. Faktem jest, że współczesne państwo czeskie nie jest państwem, ale tylko sztucznym tworem żydo-masonerji, skonstruowanym, jak domek z kart przez p.p. Masaryka i Benesza oraz ich masońskich „braci“ z pod znaku masonerji francuskiej i amerykańskiej. A pozatem jest to w najgłębszej istocie rzeczy odwieczna część składowa Rzeszy niemieckiej.

Dążąc więc jasno i wyraźnie do odzyskania Gdańska, a w przyszłości nawet i Prus Wschodnich z Królewcem, dążąc równocześnie także do odzyskania zneglizowanego przez Piastów Śląska Opolskiego, a nadto całego Śląska Cieszyńskiego, obwodu polskiej Ostrawy i całych Tatr wraz z szeroką góralską okolicą — nie przesądzając ewentualnych dalszych zdobyczy, które armja i polityka polska zdobywać winny w miarę wzrostu potęgi niemieckiej — nie jesteśmy jednak w stanie zaprzeczyć uczciwie ani pozytywnego faktu przynależności znacznej części Czech do geopolitycznego i kulturalnego zasięgu Rzeszy niemieckiej, ani głębokiego realizmu filozofji Hegla o konsolidacyjnem prawie narodów, na podstawie którego zjednoczyły się swego czasu już wielopaństewkowe Włochy i niemniej wielo-

państewkowe Niemcy, co my, Polacy, w odniesieniu do własnej doli winniśmy szczególnie uznawać.

Reasumujemy: tak zwany słowiański naród czeski jest w istocie czemś pośredniem między słowiaństwem, a germanizmem i dlatego nie uważalibyśmy za nic osobliwego, żeby jego siedziby były raz gruntownie między państwo polskie i niemieckie zagarnięte i rozgraniczone.

Niech ciskają się na nas, jak wściekli, różni tromtadraccy słowianofile — my twierdzimy zgóry jasno i wyraźnie, że granica polsko-niemiecka winna ustalić się definitywnie nad Wełtawą tak, jak granica polsko węgierska na grzebieniu Karpat, za wyjątkiem odpowiedniej, korzystnej dla nas rektyfikacji granicy tatrzańsko-spisko-orawskiej.

Czy własność prywatna i zdobycze socjalne zwolna stają się fikcją? (Odpowiedź na art. »I. K. C.«)

Nr. 148 Ilustrowanego Kurjera Codziennego z 30-go maja b. r. przyniósł nam niezwykle znamienny, bezpośrednio aktualny i każdego — bez wyjątku — w Polsce bardzo interesujący artykuł wstępny, pióra wybitnego ekonomisty F. Z. (p. Ferdynanda Zweiga) p. t.: „Czy własność prywatna i zdobycze socjalne zwolna stają się fikcją?".

Tytuł ten objaśniony jest przez autora podtytułem: „Koszta zbrojeń wkrótce zrównają się z kosztami prowadzenia wojny", a Redakcja Kurjera dodaje od siebie nadtytuł „Gdy szał zawrotnych zbrojeń ogarnął świat cały".

Wprawdzie „I. K. C." ma w całym kraju i zagranicą wielkie masy czytelników tak, że w pierwszej chwili wydać się może komuś zbędnem, czy zabawnem, iż miesięcznik nasz — a więc wydawnictwo o bez żadnego porównania mniejszym zasięgu—przytacza po upływie kilku tygodni artykuł najpoczytniejszej gazety polskiej in extenso. Ale bliższa rozwaga uświadomi wnet naszemu czytelnikowi, że właśnie przez takie powtórzenie dziennikarskiego artykułu w piśmie miesięcznem — i to w piśmie o charakterze pragmatycznym, docierającem w wiele miejsc, gdzie należy — artykuł ów, który szybko zginąłby z pamięci ludzkiej w powodzi innych, również poważną sensację budzących artykułów prasy codziennej, choćby i samego „I. K. C.", zostaje utrwalony i jego treść w pamięci ludzkiej lepiej przygwożdżona.

A przytaczamy artykuł ten nie tylko dla lepszej pamięci ludzkiej, lecz i dlatego, że dotyka on pewnych zasadniczych spraw państwowych, które wydawnictwo nasze oraz stojący przy niem Związek Polskiej Myśli Państwowej szczególnie interesują i zniewalają nas do pewnego komentarza.

Przytaczamy więc najpierw wspomniany artykuł w dosłownem brzmieniu.

„Obecny, coraz zawrotniejszy wyścig zbrojeń ma swój refleks nietylko gospodarczo-finansowy, nie tylko kulturalno obyczajowy, ale i socjalno ustrojowy.

Potęgujący się wyścig zbrojeń zagraża zdobyczom socjalnym szerokich mas ludowych — jak to ostatnio podkreślił dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy p. Butler w swym głośnym już raporcie przygotowanym dla Międzynarodowej Konferencji Pracy, mającej odbyć się w czerwcu. Dla sprostania wyścigowi trzeba pracować więcej i coraz częstsze są tendencje przekraczania dotychczas przyjętych norm pracy. Kraje przodujące w wyścigu zbrojeń przedłużają czas pracy i coraz większe i coraz trudniejsze wymogi stawiają pracy robotnika.

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że coraz zawrotniejszy wyścig zbrojeń zagraża tylko zdobyczom socjalnym. Zagraża on w równym, jeśli nie większym stopniu współczesnemu ustrojowi społeczno-gospodarczemu, ustrojowi prywatnej własności.

Koszta wyścigu zbrojeń lawiną rosną.

Jeśli światowe koszty zbrojeń za r. 1913 przyjmiemy na 100, to już w r. 1929 wynosiły one 150, w r. 1934 — 200, w r. 1935 — 240 — 300, w r. 1936 — 300 — 360.

Cyfr za r. 1937 i za rok bieżący jeszcze nie znamy. Ale możemy przypuszczać, że dojdą one conajmniej do 400 — 500, tak wielkie, tak gigantyczne są dziś przygotowania do wojny.

Innemi słowy, świat dziś wydaje 4 do 5 razy więcej na przygotowania wojenne, niż w rekordowym roku wyścigu zbrojeń tuż przed wielką wojną.

Co to oznacza?

Czy ciężary te można pokryć z bieżących dochodów, czy ze substancji? Czy nie trzeba coraz większą część dochodu społecznego konfiskować daleko poza granice dochodu ogólnego, czy nie trzeba coraz dalej i silniej wkraczać w sferę prywatnej własności?

Fiskalizm przemienia się w hiperfiskalizm, ten w mechanizm konfiskaty prywatnej własności.

Coraz większa część dochodu społecznego idzie na potrzeby Skarbu Państwa, coraz większe ciężary ciążą na produkcji, produkcja ta staje sie coraz mniej rentowna. Inicjatywa prywatna zamiera, na jej miejsce wchodzi inicjatywa państwowa.

Hiperfiskalizm, konfiskujący coraz większą część dochodu społecznego, jest czynnikiem umniejszającym zasięg prywatnej własności, jest czynnikiem głębokiej i stale działającej przemiany ustrojowej.

Niestety, proces ten postępuje nie tylko w t. zw. krajach totalnych, ale i w wielu innych krajach, hołdujących wolności, bo proces ten związany jest nie z ustrojem, ale z koniecznością obrony narodowej, jaką narzuca chwila obecna.

O rozmiarach tego procesu dowiadujemy się z rewelacyjnych cyfr, ostatnio ogłoszonych, z dwóch ustrojowo całkowicie różnych terenów, Francji i Włoch, a dotyczących obciążenia fiskalnego tych krajów.

Przypatrzmy się bliżej tym cyfrom, bo one mówią bardzo wiele, więcej niż całe tomy teoretycznych rozpraw na temat przemian zachodzących we współczesnym ustroju społeczno-gospodarczym.

Dla Francji mamy zgodne ustalenie cyfr globalnego obciążenia publicznego na r. 1938. Wydatki skarbu państwa, łącznie z dopłatami do kolei, poczty, samorządów, kolonij i t. d. na ten rok wynoszą około 85 miljardów. Wydatki samorządów i instytucyj społecznych około 25 miljarów. Łącznie budżet publiczny Francji na r. 1938 wynosi około 110 miljardów franków. Szacunek dochodu społecznego na r. 1938 waha się od 220 — 250 miljardów fr. Jeśli przyjmiemy tę ostatnią sumę, korzystniejszą dla Francji, otrzymamy około 44% dochodu społecznego, idącego tylko na wydatki publiczne.

Jak widzimy, zbliżamy się tu do 50%. Połowa dochodu przeciętnie wygospodarowanego przez obywatela idzie dla niego, połowa (w tej czy innej formie) dla państwa, względnie samorządów.

Dla Włoch posiadamy bardzo szczegółową i wnikliwą analizę, przeprowadzaną przez Instytut Konjunktur w Berlinie w pracy p. Alberta Wisslera, niedawno co ogłoszonej (w kwietniu 1938), a pisanej z wielką życzliwością dla ustroju włoskiego. (Innenmarkt und Aussenwirtschaft im Neuaufbau der faschistischen Wirtschaft).

Z pracy tej dowiadujemy się, że obciążenie fiskalne, które przed wielkim kryzysem wynosiło już jedną trzecią dochodu społecznego, przekroczyło obecnie połowę dochodu społecznego.

Instytut berliński sumę obciążenia publicznego Włoch za ostatni rok, całkowicie opublikowany 1935/36 podaje na 44,3 miljardy lirów, a na r. 1938/39 przyjmuje „znacznie powyżej 50

miljardów" („beträchtlich über 50 Mrd. Lire"). Natomiast dochód społeczny przyjmuje maksymalnie na 95 — 100 miljardów lirów.

Innemi słowy, globalne obciążenie publiczne Włoch przyjmuje na przeszło połowę całego dochodu społecznego.

Dla Niemiec, niestety, nie mamy cyfr, bo tam wogóle nie ogłasza się ani budżetu publicznego, ani sprawozdań rachunkowych, ale nie przypuszczamy, by cyfry te mogły daleko odbiegać od norm francuskich, czy włoskich. (Z 15 miljonów robotników, zatrudnionych w przemyśle niemieckim, około 60% pracuje dziś na przygotowanie wojny).

A więc w dwóch krajach o odmiennych strukturach, odmiennej zasobności, odmiennym ustroju polityczno-gospodarczym, stwierdzamy podobny stan rzeczy, który przecież na długą metę zagraża tej podstawie ustroju, jaką jest prywatna własność.

A w obydwu tych krajach głównem źródłem fiskalizmu są przedewszystkiem ogromne ciężary militarne (we Francji 46% budżetu dochodów, a 40% budżetu wydatków idzie na zbrojenia), koszty wyścigu zbrojeń, szaleńczego z punktu widzenia możliwości gospodarczych, ale w obecnej sytuacji dla wielu krajów koniecznego i niepodlegającego żadnym dyskusjom.

Każdy zrozumie, że sytuacja taka w Europie jest na długą metę nie do zniesienia. Koszta wyścigu coraz bardziej zbliżają się do kosztów prowadzenia wojny, czyli wyścig już w tej fazie staje się prowadzeniem wojny w permanencji.

Utrzymanie tego stanu rzeczy grozi wielkiemi przeobrażeniami nie tylko gospodarczemi i finansowemi, ale także społecznemi i ustrojowemi.

Dlatego nie wystarczy uratować Europę od wojny dziś, czy jutro, trzeba uratować Europę przed potęgującym się wciąż strachem przed wojną, który paraliżuje aktywność gospodarczą i likwiduje zwolna ale systematycznie zarówno własność prywatną, jak i zdobycze socjalne szerokich rzesz."

F. Z.

„ ... i likwiduje zwolna, ale systematycznie zarówno własność prywatną, jak i zdobycze socjalne..."

Uznając całkowicie słuszność tego w pożytecznym sensie alarmowego artykułu, chwytamy się jednak szczególnie zacytowanego końcowego zdania. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nadmiar zbrojeń, wywołanych dziką żądzą najazdów i zdobyczy

ze strony państw „cywilizowanych", przyczynia się w ostatecznej konsekwencji do progresywnej likwidacji nie tylko własności prywatnej lecz i — w pewnym z tem związku — wogóle dawnej swobody jednostki na rzecz najnowocześniejszego państwa-molocha. Żyjemy istotnie w epoce kolosalnego paradoksu, skoro narody „cywilizowane", które stosunkowo niedawno, bo dopiero w ciągu XIX-go wieku zniosły niewolnictwo i prawne przywileje jednych warstw nad drugiemi, wracają z powrotem do idei niewolnictwa, rozciąganego jednak równomiernie już na wszystkich obywateli za wyjątkiem szczupłych grup ustrojodawczych, będących chwilowo u steru.

Ale, czy tylko koszta zbrojeń przygniatają nas swym ciężarem? Otóż tu stajemy w sprzeczności z autorem powyższego artykułu — a przynajmniej z dosłowną jego treścią. Po piersze bowiem nie tylko — i nie w pierwszym rzędzie — zbrojenia niszczą własność prywatną, a powtóre, czyż należy biadać nad progresywnym pogromem „błogosławieństw społecznych"?

Co się bowiem tyczy podatków na zbrojenia, to pieniądze, na ten cel wykładane, wracają mniej więcej całkowicie do rąk społeczeństwa drogą przemysłu wojennego. Prawda, że przez redukcję nadmiernych zbrojeń możnaby produktywniej inwestować odpowiednie kwoty w gospodarczy i kulturalny rozwój narodów. Ale ostatecznie fabryka jest fabryką, przedsiębiorstwo przedsiębiorstwem i czy mamy do czynienia n. p. z wytwórnią opon samochodowych dla celów wojskowych czy prywatnych, to bądź co bądź jest to przedsiębiorstwo użyteczne, dające pracę i zarobek tylu a tylu setkom, czy tysiącom ludzi. W każdym więc razie wielki przemysł wojenny — którego wytwórczość ma w znacznej części zastosowanie także i dla celów pokojowych — wzmaga uprzemysłowienie kraju, pobudza inicjatywę gospodarczą w wielu kierunkach i poważnie łagodzi bezrobocie.

Co natomiast jest prawdziwym rakiem, niszczącym stopniowo a głupio prawo własności i rozwój gospodarczy oraz kulturalny państw i narodów, to z jednej strony nadmiernie rozbudowana podwójna machina administracyjna — rządowa i samorządowa — która pochłania rok rocznie grube miljony na budowę i utrzymanie całkiem niepotrzebnych pałaców etatyzmu i karmienie chmar całkiem niepotrzebnych, co najmniej w połowie, urzędników, płodzących zbyt często wprost absurda ustawowe i rozporządzeniowe... w braku istotnego zajęcia. Drugim zaś rakiem, wprowadzającym ustrój gwałtu i niewolnictwa w niby wyzwolone, niby demokratyczne społeczeństwo, są to właś-

nie owe „zdobycze socjalne", nad których zagrożeniem niewiedzieć dlaczego biada autor, znany zresztą ze swych liberalnych poglądów?

Wszak przymus owych zdobyczy i dobrodziejstw społecznych, spłodzony w mózgach najgorszych demagogów, rozdmuchany w Polsce stanowczo przez „obce agentury" do balonowych rozmiarów jakiegoś murzyńskiego fetysza, wtłoczony biednym obywatelom przez przemoc państwową i bagnety policyjne w kieszeń i gardło, a wykonywany z daleko bezwzględniejszym rygorem, niż nawet zbieranie państwowych podatków, jest właśnie największym niszczycielem życia gospodarczego, prawa własności i zarobku — znacznie większym i nieporównanie bezproduktywniejszym od największych świadczeń na zbrojenia.

Także i pod względem moralnym. Przecież każdy z nas, nawet w czasach kryzysowych dobędzie ostatniej złotówki z kieszeni, aby w patrjotycznym, nieprzymusowym porywie przyczynić się do budowy dział, tanków, samolotów, czy statków wojennych. Ale z prawdziwym wstrętem i z najgłębszem przekonaniem o absurdzie przymusu ubezpieczeniowego, zmuszani jesteśmy gwałtem i przemocą łożyć i zadłużać się na to, niby nienaruszalne tabu „zdobyczy społecznych", wyjętych żywcem z bezmyślnego katechizmu socjalistycznego.

Oto prawdziwy hamulec życia gospodarczego, a w ślad za niem i kulturalnego, idący ręka w rękę z pęczniejącym wciąż etatyzmem i regulujący pod bagnetem policjanta i argusowem okiem inspektorów pracy życie, mienie i każdy ruch obywatela, zakutego w kajdany nowoczesnego „postępowego niewolnictwa".

Wprawdzie pełne są błogosławiących zapewnień wszelkie mowy, przemowy i sztucznie inscenizowane występy — ale tak naprawdę, to stworzona fikcja jakiegoś oderwanego od rzeczywistości „państwa" druzgoce w myśl wyraźnie socjalizujących zasad mienie i egzystencję jednostki.

Chyba nikt nie byłby w stanie na serjo tej prawdzie zaprzeczyć. Można stosować na nią zdawkowe słowa „dementi" i represje, można tuszować ją wszelkiemi sposobami przed naiwnem okiem uszczęśliwianego przymusowemi dobrodziejstwami stada, ale niepodobna uczciwie z ręką na sercu jej zaprzeczyć.

I dlatego — w tym jednym szczególe — na biadanie I.K.C., nad pogromem „zdobyczy socjalnych" przez nadmiar zbrojeń, odpowiadamy wręcz na podstawie już prawie dwudziestoletniego doświadczenia:

Jeżeli koszta pogotowia wojennego mają naprawdę zniszczyć absurdalną demagogję i hańbiący wolnych obywateli gwałt przymusowych, a rujnujących „błogosławieństw" społecznych, to niechże koszty tych zbrojeń rosną sobie szczęśliwie jeszcze bardziej!

Wolę, stokroć bardziej wolę dać ostatni grosz choćby na guziki mundurowe u żołnierza, niż rumienić się przed samym sobą ze wstydu nad moją rolę, jako obywatela-niewolnika przy-przymusu ubezpieczeniowego, narzuconego mi gwałtem przez wyznawców doktryny Marksa i inne obce agentury. Wolę zdechnąć swobodnie pod płotem, kiedy mi się tak spodoba, niż być przymusowo „pielęgnowanym" w Kasie Chorych.

A tym wszystkim współrodakom, którzy w roku Pańskim 1938 dopatrują się jeszcze jakichś „zdobyczy postępu" tam, gdzie zamiast zasady dobrowolności i swobody, panuje bicz i bagnet przymusu, wyrażam niniejszym moje najszczersze i najgłębsze wyrazy współczucia. Szczególne zaś ubolewanie wyrażam tym, którzy z syzyfową cierpliwością usiłują wytoczyć na szczyt skałę gospodarstwa i dobrobytu krajowego przy upartem, beznadziejnem podtrzymywaniu obecnego ustroju Polski, karzącego za chęć do pracy i ścigającego fiskalnie, administracyjnie i socjalnie każde, choćby minimalne zwiększenie społecznego dochodu.

Jan Bobrzyński.

Tragikomedja majowej ekspedycji słowackiej

Wszystkie „po słowiańsku" czujące serca naszych rodaków zabiły mocno a radośnie na wiadomość, że zdążają do stolicy naszej bracia słowaccy — i to aż dwoma szlakami: od południa, z rdzennej Słowacji i z Ameryki przez Gdynię Słowacy amerykańscy na polskim statku „Batory". Różne wieści z „najpewniejszych" źródeł starały się dowieść nam, czarno na białem, kto i dlaczego tę niespodziewaną ekspedycję słowacką nagle zaaranżował.

Redakcja nasza posiada jednak z przed dwóch lat autentyczny list najautentyczniejszego, wybitnego Słowaka, bardzo poważnego rzecznika czysto słowackich interesów w sejmie praskim, szczerego autonomisty, który wówczas z dumą odrzucił wszelką sugestję jakiejkolwiek polskiej pomocy, choćby tylko literackiej, twierdząc i podkreślając dwukrotnie, iż Słowacy *sami* chcą bronić swych spraw. Ano, jak sami, to sami — przestaliśmy się więc starać o jakikolwiek kontakt ze Słowakami, pozostawiając tylko kulturalno - artystyczne rozczulania słowiańskie Towarzyswu polsko - słowackiemu w Krakowie. Nie wypada przecież komukolwiek się narzucać — i to tem mniej, że i duchowy wódz Słowaków, ks. prałat Hlinka, nie bardzo życzliwie był doniedawna dla Polski usposobiony.

Aż tu nagle najpierw wyprawa ks. Hlinki z otoczeniem do polskiego Podkarpacia, z wymianą czułych oświadczeń, a wnet potem wielka ekspedycja słowacka dwoma szlakami, dosłownie przez góry i morza, aż na ratusz warszawski, z dokumentem umowy pittsburskiej w ręku!

Ha, dziwne rzeczy dzieją się na świecie, nawet tak dziwne, że ostatnio już i niektóre rdzennie czeskie głosy odzywają się za Polską. A byłby to przecież cudów cud: z ludem polskim czeski lud!

Ale mniejsza z tem — dość, że podwójna ekspedycja słowacka doszła do skutku, kulminując we wspaniałych przyjęciach w Gdyni i w Warszawie. A potem spłynęła zgodnie do... Pragi, wysyłając po drodze „umyślnego", aby dał w Rużemborku dokument umowy pittsburskiej do zweryfikowania ks. Hlince, czy aby jest autentyczny.

Wszystko to byłoby piękne i ładne i wzruszające, gdyby nie pewna drobniutka okoliczność: że mianowicie obie wycieczki, ze Słowacji i z Ameryki aż na ratusz warszawski i dalej, odbyły się w towarzystwie i pod kontrolą czeskich — pardon, czechosłowackich — oficjalnych i mniej oficjalnych kontrolerów. A w czasie radośnie- nastrojowego przyjęcia braci słowackich w ratuszu, zaskoczył niemal wszystkich zebranych — między nimi i samego Prezydenta miasta — naczelnik Słowaków amerykańskich, p. Hletko, błagalnem oświadczeniem pod adresem całego narodu polskiego, aby tenże naród polski zechciał bezinteresownie dopomóc amerykańskim Słowakom, którzy zbudowali republikę czechosłowacką, do zapobieżenia jej zburzeniu. „Jeżeli kochacie Słowaków i Słowację — wołał mówca — to pomóżcie bronić Czechosłowackiej republiki, gdyż tam właśnie szukają Słowacy swej wolności, swego spokoju i swego znaczenia". Wynurzeniu temu — które oczywiście między Pragą a mówcą było zgóry uzgodnione — przysłuchiwał się z głębokiem zadowoleniem minister pełnomocny Czechosłowacji, p. Slavik, jak wiadomo renegat słowacki, jakich wielu znajduje się obecnie w rządzie czeskim. On również witał z entuzjazmem delegację Słowaków amerykańskich w Gdyni. A potem dokument pittsburski powędrował przez Rużembork do Pragi!!!!!

Aha, zaczynamy zwolna rozumieć! Trzeba tylko wiedzieć, że wielu Słowaków protestanckiego wyznania lub wprost ateistów przemieniło się w ostatniem ćwierćwieczu w zażartych Czechów—plus Tchèque que le Thèque même. I drugą rzecz trzeba wiedzieć, że obecne „imperjum czechosłowackie" zbudowane zostało od stóp do głów przez masońskie porozumienie pittsbursko-parysko-praskie i podlane następnie mocno „słowiańskim" sosem czesko - bolszewickiej serdecznej przyjaźni. Wreszcie trzeba i to pojąć, że obecny nastrój paniki w Czechach przed spodziewaną inwazją niemiecką dyktuje masonom i moskanofilom czeskim wszelakie koziołki, zarzucanie wszelakich wędek, za pomocą których chcą łowić sobie sprzymierzeńców na ratunek przed Hitlerem.

Tem się tłumaczy, że gdy prawdziwi Słowacy, t. j. Słowacy czujący po słowacku i broniący się przed niszczącym reżimem Pragi — zwrócili się w chwili przypuszczalnego niebezpieczeństwa niemieckiego ku Polsce z własnej, czy przez kogoś życzliwie im sugerowanej podniety, to rząd praski i sprzyjająca mu masonerja światowa dostawiły natychmiast do rdzennie słowackiej ekspedycji swych agentów i nadzorców, zręcznych pyskaczy, którzy narzucili się na przywódzców wyprawy, legitymując się słowackiem pochodzeniem, aby treść, sens i cel właściwy słowackiej wycieczki do Warszawy wypaczyć i udaremnić.

Sprawa jasna jak słońce. Bo z przemówień i postulatów „nibysłowackich" wynika, że naród i armja polska mają bronić do upadłego całej republiki czeskiej, a więc i Sudetów— i to „bezinteresownie", li tylko z jakiejś ewangielicznej miłości dla owych „Niby - Słowaków", a właściwie słowackich renegatów oraz czeskich masonów i bolszewikofilów.

I jak wszystko to sprytnie zainscenizowano! Jak dowcipnie i nieznacznie wślizgnęły się czeskie masony w program ekspedycji słowackiej! I jakże spryciarsko spreparowany został dla naiwnych oczu szerszych mas ów komedjancki gest przedłożenia ks. Hlince tego najbardziej oszukańczego, czysto masońskiego dokumentu, jakim jest umowa pittsburska! Wszystko to razem najobrzydliwsza perfidja, na jaką zdobyć się może tylko żydo-masonerja.

Jedno tylko zawiodło czeskich spryciarzy, a zwłaszcza ich amerykańskich kompatrjotów: kapitalna głupota ich speakerów, a w pierwszym rzędzie owego Hletki. I to otwarło nam dokładnie oczy na ową „majową rzeczywistość" słowackiej wycieczki.

Taki bowiem amerykański „Czechosłowak", wykarmiony instrukcjami Pragi i swych masońskich mistrzów, a nadto może i lekturą pewnych słowiańskich gazet polskich, wyobraził sobie, że wystarczy w Gdyni czy Warszawie wystąpić na podjum w masce słowiańskiej i wzywać Polaków do nowej rozprawy grunwaldzkiej z następcami Krzyżaków w obronie innej słowiańskiej republiki — i to w dodatku „bezinteresownie" — a wyczaruje się wzruszenie i serdeczne łzy z naiwnych Polaków i chwyt ich za karabelę.

Nic z tego, panowie Czesi, masoni, husyci, bolszewicy i inne kwiatki destrukcji międzynarodowej, skupione właśnie w Pradze! Już co jak co, ale za was ani nam się nie śni głowy nadstawiać. A już zgoła naiwną i absurdalną jest propozycja czesko-masońskich cawboy'ów amerykańskich, żeby współczes-

na, dobrze już z pradawnej donkiszoterji otrzeźwiona Polska miała dla kogokolwiek nastawiać karku „bezinteresownie". Tempi passati! Kto chce dziś czegokolwiek od nas żądać, musi przedewszystkiem bardzo dobrze za to zapłacić — oczywiście, jeżeli wogóle uzna Polska za korzystne dla niej w daną sprawę zaingerować.

A w danym wypadku z pewnością nikt miarodajny i rozumny w Polsce nie myśli nadstawiać głowy dla obrony i wzmocnienia tego najgorszego gniazda wszelkich złych mocy w Europie, jakiem jest Praga. W żadnym razie ani na słowiańską, ani na słowacką przynętę wziąć się nie damy.

A co do prawdziwych Słowaków, to dopóki ktokolwiek z nich — pod wpływem przedwojennych tradycji panslawistycznych, a więc moskalofilskich — będzie zwracać się do nas w imię jakichś archeologicznych, ideowo-szczepowych spólnot słowiańskich, to my, praktyczni Polacy XX-go wieku, uśmiechać się będziemy pobłażliwie na takie dziecięce majaki. Słowiańszczyzna bowiem, to temat dla archeologów i poetów — a dla tych ostatnich nawet niebezpieczny, bo zwodzi łatwo na moskiewskie tory — ale dla polskiej polityki państwowej żadnego nie ma znaczenia, gdyż w niczem realnie-korzystnem wyrazić się dla nas nie może: ani w armjach sprzymierzeńczych, ani w naszem dozbrojeniu, ani w większych korzyściach przemysłowo - handlowych, ani w pożyczkowych dolarach. Jedyną rzeczą, której — jak nam dobrze wiadomo — od wszystkich, blizkich nam geograficznie „szczepów słowiańskich" możemy się spodziewać, to pchnięcie nożem w plecy przy lada okazji. Wobec Niemców, których mamy przed frontem, wiemy czego się trzymać i jaką politykę prowadzić. Natomiast chytrzy zawsze i podstępni, a moralnie rozkładowi „bracia słowiańscy" zmuszają nas do największej czujności, bo świetnie umieją się składać, a nigdy nie wiadomo kiedy i jak żądła swe wysuną.

Nie zaliczamy Słowaków — prawdziwych Słowaków — do tych podstępnych, zepsutych do szpiku kości braci słowiańskich. Mamy o nich lepsze wyobrażenie i współczujemy z ich niedolą. Ale przedstawiciele Słowaków otrzymali już przecież dawno realną, a życzliwą wskazówkę od pewnego Polaka, którego o nieżyczliwość lub o brak genjalnej intuicji w sprawach zagranicznych nie mogą chyba posądzać. Gdy bowiem kilku wybitnych przedstawicieli narodu Słowackiego z ks. Hlinką na czele, zgłosiło się we wrześniu 1919 r. w Warszawie do ówczesnego

Naczelnika państwa polskiego, Józefa Piłsudskiego, z prośbą o ułatwienie wyjazdu do Paryża, gdzie chcieli zabiegać o sprawę słowacką, wówczas Piłsudski dał im taki wiatyk na drogę: „Jedźcie, a jeżeli nic tam nie wskóracie, to radzę wam pogodzić się z Węgrami!"

I tej samej rady możemy i dziś, po dziewiętnastu latach, Słowakom udzielić. O ile nie uważają sami za możliwe stworzyć i utrzymać niepodległe państwo, to niech zwrócą się bez obawy do Węgrów.

Węgrów bowiem straszna katastrofa wojny światowej i dalsza ich niedola dużo nauczyły. Węgrzy rozumieją dziś już, że madziaryzowanie innych, choćby znacznie słabszych narodów byłoby samobójczym absurdem w obecnej epoce rozwiniętego powszechnie uświadomienia narodowego i nacjonalizmu. To też nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że odpowiedni pittsburskiej umowie traktat ugodowo - autonomiczny, słowacko - węgierski, byłby przez Węgrów uczciwie dotrzymywany. A dla Słowaków byłby tem jeszcze korzystniejszy, że obecność języka węgierskiego zabezpieczałaby ich również przed zalewem madziaryzmu, podczas gdy podobieństwo czeskiego języka i kultury grozi Słowakom bez żadnej wątpliwości prędzej czy później zupełnem wynarodowieniem.

Wszak przez tysiąc lat nie wynarodowił się — oprócz pewnych wyjątków — naród słowacki w państwowej wspólnocie z Węgrami, chociaż nie był wówczas chroniony żadnym układem, a tem mniej autonomją. A jak straszne wyrwy zrobiło w Słowaczyźnie zaledwie dwudziestoletnie panowanie Czechów, chociaż Słowacy zostali przez nich uznani jako niby współgospodarze państwa?!

Niechże więc z całej tragikomicznej, majowej wyprawy do Polski wyciągną prawdziwi Słowacy praktyczną dyrektywę z pewnego symbolicznego faktu: że mianowicie ich grupa amerykańska przyjechała do Gdyni na statku polskim, noszącym chlubne imię „Batory".

Jest to ważna wskazówka i dosłowna dla wszystkich trzech narodów: Słowacy niech zwrócą się do współziomków Batorego, a Węgrzy i Polacy niech podadzą sobie ręce do jak najściślejszego sojuszu, na razie choćby poprzez terytorjum czeskie. Niemasz w tem żadnej geograficznej przeszkody. Wszak jeżeli istnieje sojusz między tak odległemi od siebie krajami, jak Francja i Polska, to dlaczego nie ma zaistnieć jeszcze ściślejszy sojusz między Węgrami a Polską, które przecież tylko wąs-

ki pas Rusi Zakarpackiej rozdziela. I to tem bardziej, że słaby ten mur graniczny musi — miejmy nadzieję i pewność — niebawem runąć. Nie można bowiem długo tolerować, aby sztuczny twór rusko-podkarpacki, jako niemal oficjalny depozyt rosyjski w rękach czeskich, rozrastał się na coraz groźniejsze gniazdo i zarzewie bolszewizmu.

Wreszcie i o tem pamiętać winni prawdziwi patrjoci słowaccy — zawsze z zastrzeżeniem, jeżeli nie czują się na siłach stworzyć i utrzymać całkiem niepodległe państwo — że Słowacja jest bądź co bądź geograficznie częścią wielkiej krainy, odgrodzonej od reszty Europy naturalną granicą łuku karpackiego. Jej przynależność więc do Czech i Moraw jest nawet geograficznym i gospodarczym absurdem, podczas gdy z niziną węgierską łączą ją wszelkie względy historyczne, geograficzne i ekonomiczne, podobnie zresztą, jak i Ruś zakarpacką.

———————

Z całą tą sprawą słowacką łączy się ściśle — dla Polski i wogóle — wielki problem niemiecko-czesko-węgierski. Nie są to żadne tajemnice stanu, gdyż cały kompleks tych spraw jest dla każdego aż nadto widoczny i oczywisty. Chodzi więc nam tylko o pewną uporządkowaną syntezę.

Jeseteśmy przekonani, że dzisiejsze nastawienie Węgier, dotkniętych tak ciężką katastrofą dziejową, musi być i jest inne, niż było przed wojną w zakresie tolerancji narodowej. Węgrzy, marząc i dążąc do restytucji wielonarodowościowego „Państwa Korony św. Szczepana", rozumieją już chyba dostatecznie, że w XX-tym wieku wszelka gwałtowna asymilacja i denacjonalizacja nawet małych narodów jest już rzeczą niemożliwą. Państwowość wielonarodowa może istnieć i jest nawet w niejednych stosunkach konieczną właśnie dla tem lepszej ochrony poszczególnych narodowości, ale pod warunkiem, że wspólnota państwowa odrębność poszczególnych narodów uzna i odpowiednio prawnie ustabilizuje — zwłaszcza wówczas, gdy poszczególne narodowości wykażą niezbędną i oczywistą lojalność względem całego państwa.

Stąd też nie mamy powodu obawiać się losu Słowaków w autonomicznej wspólnocie państwowej z Węgrami.

Z drugiej strony zmieniła się już na ogół niedawna jeszcze psychika Węgier, jako państwa „zwyciężonego w czasie wojny światowej" i oglądającego się przeto na ewentualną pomoc niemiecką w sprawie restytucji dawnego państwa węgierskiego. Węgrzy, zwłaszcza od chwili Anschlussu, stanęły przed per-

spektywą ewentualnego zalewu przez Niemcy, dążące na razie nietyle na południowy wschód, a więc w dawnym kierunku wilhelmowskim na Bałkany i do Bagdadu, ile nieco wyżej na wshód: do nafty rumuńskiej.

O to dzisiejszym Niemcom głównie chodzi, gdyż nowoczesna motoryzacja armji i floty, a zwłaszcza samolotów, wymaga rok rocznie kilku miljonów tonn przetworów naftowych. Te zaś mogłyby Niemcy na wypadek wojny agresywnej znaleźć chyba tylko przez opanowanie Rumunji, oczywiście po uprzedniem zalewie Węgier. Wówczas Dunaj stanowiłby wspaniałą arterję dowozu nafty do Niemiec.

Widzą to jasno Węgrzy i dlatego nie lgną już tak nadziejami swemi do polityki niemieckiej, jak to poprzednio się działo, ani nawet do polityki Mussoliniego, którego wabące przemowy i gesta kierowały przez pewien czas nadzieje węgierskie do Rzymu.

Dziś Rzym, ogółem biorąc, przestał się już w sprawę węgierską angażować. Natomiast „Warszawa" stała się obecnie daleko większym i aktualniejszym tematem dnia w Budapeszcie, niż to sobie ogół polski wyobraża. Wiedząc o tem i wnioskując o gotowości Węgier do porozumienia z Polską w sprawie oporu ewentualnej ekspansji niemieckiej po przez Węgry do Rumunji, stawiamy wyżej uzasadniony postulat jak najściślejszego sojuszu z Węgrami z dążeniem do osiągnięcia wspólnej z niemi granicy.

Słowacja winna przy tem w umyśle każdego Polaka stanowić tylko przedmiot pewnej opieki i dążenia do powrotu jej w skład państwa Korony św. Szczepana przy odpowiedniej autonomji. Ale w danych warunkach, możliwych do przewidzenia, nie powinien — zdaniem naszem — zagarniać Polak w swym umyśle Słowacji dla siebie. Wówczas bowiem rzuciliby się Węgrzy, mimo wszystko, w objęcia Niemiec.

Rzecz również jasna i zrozumiała. Dopóki bowiem Słowacja okupowana jest przez stosunkowo słabe państwo czeskie i Węgrzy mają przez to nadzieję odzyskania tego kraju dla swej państwowości, dopóty ich przyjazne nastawienie do Polski i myśl obrony przed zalewem niemieckim są aktualne, z chwilą jednak gdyby Polska w jakiejś korzystnej okazji zawładnęła na stałe Słowacją (a więc i Rusią Zakarpacką) i Węgrzy wobec potęgi polskiej straciliby nadzieję odzyskania tych dzielnic, to wówczas ujrzeliby już tylko jedyny ratunek w Niemcach, choćby musieliby go opłacić wyraźną za-

leżnością od Berlina. Droga dla ekspansji niemieckiej do Rumunji byłaby szeroko otwartą.

Dlatego rozum polityczny — przy całym naszym sentymencie dla Słowacji — winien nam zakazać uczynienia takiego gestu, któryby na zawsze uczynił Węgrów naszymi wrogami.

Istnieje inne jeszcze niebezpieczeństwo ekspansji niemieckiej w Rumunji — inną drogą: federatywnego ustroju Czechosłowacji. Jest to najświeższa koncepcja, zasugerowana przez Niemców i rozważana nawet w Pradze. Chodzi w niej o to, aby podzielić długi pas republiki czechosłowackiej na mniej lub więcej autonomiczne kraje: sudecko-niemiecki, czeskomorawski, słowacki, rusko-zakarpacki, a może nawet i śląsko - polski.

Przy takim ustroju najważniejszym czynnikiem i promotorem wpływów Rzeszy niemieckiej na rozpaciorkowane państwo czeskie byliby oczywiście Niemcy sudeccy. Oni to stanowiliby, pozornie bez naruszenia granic Czechosłowacji, bardzo skuteczną awangardę Rzeszy, wpływając bezpośrednio na poszczególne państewka sfederowane wzdłuż Karpat aż do podkarpackiej granicy rumuńskiej i utrzymując faktycznie w swem ręku „linję handlową" Berlin - Bukowina.

Dlatego głównie, poza innemi przyczynami, Hitler nie kwapi się o wcielenie Niemców sudeckich do Rzeszy. Rozumie dobrze, że sudeccy jego rodacy będą daleko pożyteczniejsi dla ekspansji niemieckiej na wchód niż gdyby — nie mówiąc już o oporze Europy — zostali wcieleni do Rzeszy i odgraniczeni od wschodu tem silniejszym murem czesko - słowackim, węgierskim i polskim. Dlatego również w najżywotniejszym interesie Polski leży, aby dzisiejsza Czechosłowacja nie została podzielona na wspólnotę szeregu federatywnych republik. Równałoby się to bowiem bezwzględnie ekspansji niemieckiego Drangu nach Osten, a raczej Drangu nach Petroleum wzdłuż południowych stoków Karpat.

I to musi każdy Polak dokładnie zrozumieć, mimo wszelkiej radości z ewentualnego — a w czeskim ręku niewątpliwie oszukańczego — powstania może i pewnej „federatywnej republiki śląsko - polskiej" na terenie zrabowanej przez Czechów połowy Śląska cieszyńskiego. Co innego gruntowne rozpadnięcie się perfidnego tworu „imperjum czeskiego" masonerji wersalskiej, która całemu światu swój „porządek" — a raczej ustawiczny ferment — narzuciła. Pod tym względem Polska bardzo słusznie czyni, zachowując sobie swobodę akcji w każdym wypadku i nie ulegając naciskowi nawet ze strony przyjaciół

czy sojuszników. Stanowi to niewątpliwie śmiałą i chlubną kartę w dziejach dyplomacji polskiej.

Oto co doniósł parę tygodni temu Times w znamiennym artykule:

W czasie największego naprężenia sprawy niemiecko-czeskiej wystosowała Francja w nieco zbyt ultymatywnej formie żądanie do Polski, aby zechciała dać zapewnienie, że w razie agresji niemieckiej będzie broniła Czechosłowację. Odpowiedź Polski brzmiała, że jest wprawdzie połączona militarnie sojuszem z Francją, ale oczywiście tylko na wypadek, gdyby Francja lub Polska zostały zaatakowane. Gdyby jednak Francja zaangażowała się militarnie na rzecz Czechosłowacji i popadła przez to w konflikt z Polską, to rzecz jasna, że traktat polsko-francuski nie mógłby w tym wypadku obowiązywać.

Trudno nam sprawdzić, czy Times oddał prawdziwy stan rzeczy. Cytujemy w streszczeniu jego artykuł dlatego, że Timesa czyta świat cały, więc nie widzimy powodu ukrywać tchórzliwie jego elukubracji przed naszymi rodakami, aby nie popaść w osławioną taktykę sztabu generalnego austryjackiego w czasie wojny światowej, który, trzęsąc się ze strachu przed własnym cieniem, traktował obywateli Austro-Węgier za dzieci małoletnie i starannie ukrywał przed nimi wiadomości z prasy zagranicznej.

Nie uważamy tej metody wymierającej Austrji za właściwą dla państwowej edukacji obywateli polskich, którzy przecież zagraniczne gazety czytają i z których wielu doskonale wie o różnych sprawach, niezmiernie ważnych dla Polski. W każdym razie uważamy śmiałą informację polskiego, na żołnierską nutę bądź co bądź nastrojonego społeczeństwa polskiego za jeden z najważniejszych czynników jego edukacji narodowej i państwowej. Otóż mniejsza o to, czy angielski Times przedstawił wspomniane zajście w myśl ścisłej prawdy, czy też dla pewnych swych celów prawdę mocno skoloryzował — w każdym razie nawet legenda mocnej i samodzielnej postawy Rządu polskiego wobec pragnącego rozkazywać nam sojusznika, czy wroga robi jak najlepsze, jak najbardziej podnoszące narodowego ducha wrażenie. Wszak najlepsze w Polsce wrażenie zrobiło owo słynne, symboliczne uderzenie pięścią w stół genewski ze strony p. Ministra Becka wraz z jego oświadczeniem, że nie myśli stosować się do poniżających Polskę i krępujących jej suwerenność klauzul mniejszościowych. Takie gesty podniecają stokroć więcej ufność w narodzie, niż wszelkie ultra - optymistyczne za-

pewnienia o korzystnej sytuacji gospodarczej w kraju, o której, my, pracujący podatnicy, przecież lepiej wiemy, niż jakikolwiek siedzący za swym biurkiem urzędnik.

Tak więc pewną jest rzeczą, że za masoński rząd „imperjum czechosłowackiego" my się bić i krew przelewać żadnej nie mamy ochoty. A na odparowanie ewentualnego niebezpieczeństwa niemieckiego całkiem inne widzimy sposoby: np. sojusz z Węgrami i z Rumunją oraz wspólna granica polsko - węgierska przy wyrzuceniu najazdu czeskiego poza Karpaty. Przetnie to daleko lepiej ewentualny niemiecki Drang nach Osten przez Węgry lub federatywne państwo czeskie, niż krwawienie się za jakieś głupie sentymenty prasko - słowiańskie, co wręcz przekreśliłoby nasz traktat o nieagresji z Niemcami, rozzuchwaliło Sowiety i wcisnęłoby nas znowu w kleszcze niemiecko - rosyjskie, których osłabienie jest największą zasługą ś. p. Marszałka Piłsudskiego i wykonawcy jego zagranicznego testamentu Ministra Becka.

———————

To wszystko, co powiedzieliśmy powyżej, uważamy za pewnik czysto polskiej racji stanu. Nie czerpaliśmy go, jak to często robią inne pisma, z natchnienia Rządu, który oczywiście nie mógłby nam podobnego artykułu choćby nawet pod kwiatkiem sugerować. „Nasza Przyszłość" nie czerpie inspiracji ze sfer oficjalnych — wręcz przeciwnie, nieraz bywa przez nie za zbytnią bezczelność „prześladowaną" — ale myśli i syntetyzuje, wszelakie sytuacje samodzielne. Czasem może się w czemś pomylić, ale — niebardzo.

Natomiast to, co w tej chwili piszemy, nie stanowi dla nas już pewnika, ale pewną fantazję*).

Otóż wielo-narodowościowa unja węgiersko - polsko - bałtycka, a zwłaszcza polsko - węgierska, wymaga imperatywnie jakiegoś prawdziwie nadrzędnego autorytetu, jakiegoś tronu, przed którym mógłby stanąć każdy Polak, Węgier, Słowak, Rusin, Litwin i t. d. Taki moralno - religijny autorytet, dla wszystkich do przyjęcia, staramy się sworzyć przez kanonizację Królowej Jadwigi, co winno obudzić najszlachetniejsze instynkta i reminiscencje we wszystkich narodach, wchodzących — we-

*) Dajemy znowu możność łaskawym polskim dziennikarzom czechofilskim (a więc w rezultacie moskalofilskim) do trąbienia na cały świat, że „Nasza Przyszłość" przyznaje się, iż głosi „fantazje". Wszak pp. zawodowi publicyści złożyli już nam nieraz dowody, jak dzielnie umieją nacierać i szkalować kopją wydartych z tekstu zdań!

dług naszej koncepcji w skład „Bloku państw środkowo-wschodniej Europy" i stać się zarazem dla nich tarczą przeciw perfidnym wpływom obcych agentur wszelkiego rodzaju. Ale dla realnej polityki dyplomatycznej to jeszcze nie wystarcza. Potrzeba tu jeszcze i pewnego widomego autorytetu nie z bezmyślnej w dzisiejszych czasach „woli wyborców", ale z „łaski bożej".

Może więc Polska, w znacznej większości narodowa, pozostać republiką o zmiennych rządach i autorytetach. Ale wydaje nam się — po wieloletniej realnej rozwadze — rzeczą chyba niemożliwą skupienie w pewną całość, choćby tylko obronną, szeregu narodów, poszatkowanych traktatem wersalskim na dość bezsilną szachownicę środkowo - wschodniej Europy, z jedną tylko armją polską, jako czynnikiem coś znaczącym. Kraje te i ludy nie mają żadnych tradycji republikańskich. Ich demokratyczność republikańska, za wyjątkiem oczywiście monarchji rumuńskiej, jest niczem innem, jak tylko ślepem naśladownictwem „wielkich demokracji zachodu". Naśladownictwo to, które wobec nowoczesnego republikańskiego rygoru żadnej faktycznej swobody obywatelom nie daje — przynosi wszystkim tylko niepewność jutra, niezgodę polityczną i socjalną i brak spajającego, prawdziwie nadrzędnego autorytetu.

Dlatego sugerujemy dyskusji publicznej i instynktowi samozachowawczemu wszystkich wchodzących tu w rachubę narodów, czy najprostszem i dla wszystkich najkorzystniejszym wybrnięciem z ciężkiej a skomplikowanej sytuacji nie byłoby poddanie się — dyktowane racją stanu i prostym rozsądkiem — pod autorytet wspólnej, dziedzicznej korony?

Prosimy nie żachnąć się bezmyślnie na ten wniosek, ale dojrzałym rozumem spokojnie go rozważyć i to nie na platformie wytartych frazesów i haseł demagogicznych, lecz na podstawie całego dotychczasowego ciężkiego doświadczenia postępowo-republikańskiego dwudziestu minionych lat powojennych. A w pierwszym rzędzie mają obowiązek i doświadczenie porozumieć się w tym względzie Węgrzy, którzy są dotąd bezpańskiem królestwem, z Polakami, którzy mają niby demokrację i republikę aż do przesytu, ale mają przedewszystkiem niezgaszone tradycje monarszej przeszłości oraz Orła w herbie, któremu napróżno masonerja chciała w pierwszym roku naszej niepodległości zrzucić złotą koronę z głowy.

I mamy cywilną odwagę stwierdzić, że ten Orzeł w koronie — usymbolizowany i w najwyższym polskim orderze — jest, obok symbolu Jasnej Góry, najsilniejszym cementem współczes-

go narodu. Korona jest również największą świętością i nadzieją dzisiejszych Węgier. Dlaczego więc nie wykonać tego, czego dzisiejsi, świeżo upieczeni „republikanie“ w Europie środkowo-wschodniej głosić się jeszcze wstydzą, ale ku czemu tak wzdychają, że plebiscyt dałby tu niewątpliwie olbrzymią większość głosów za dziedziczną koroną.

Korona ta rozwiązałaby też w szybkiem tempie cały szereg najtrudniejszych problemów, których nigdy nie rozwiąże bezmyślny tłum głosujących miljonów, ani siwiejący nad tymi problemami republikańscy ministrowie. Dlaczego więc wstydzić się wypowiedzenia tego, o czem z całą pewnością znaczna większość polskich obywateli myśli, a z czego i inne narodowości nie byłyby niezadowolone? Dlaczego łgać sobie w żywe oczy z zadowoleniem z „ustroju republikańskiego“, kiedy to nieprawda? A już gdy „Nasza Przyszłość“ coś twierdzi, to nie robi tego lekkomyślnie, dla jakiejś prasowej lub partyjnej tromtadracji, ale musi tkwić w tem co najmniej duże ziarno prawdy.

Cóż więc przeszkadza nam w śmiałem wypowiedzeniu się za monarchją, o ile związany jest z nią program unji szeregu państw „zagranicznych“? Z jednej strony przeszkadza nam ambicja karjerowiczowska różnych radykałów - tromtadratów, którzy czują przez skórę, że w razie monarchistycznego uporządkowania stosunków nie mogliby już być „wielkimi i wybitnymi“ i nie mogliby łowić ryb w mętnej wodzie. A z drugiej strony onieśmielają i teroryzują nas w tem różne obce agentunego, tylu rozwichrzonemi i wrogiemi doktrynami rozdzielonery — zwłaszcza protagonistka republikanizmu, masonerja — które zalały prawdziwą polską myśl państwową banialukami o woli ludu i o szczęściu jak najradykalniejszego postępu. Ale jednym i drugim na odlew, a wielkomocarstwowa Polska odrazu powstanie, otoczona ścisłym sojuszem przyjaznych narodów!

Oto kwintesencja naszych rozważań, jak najobjektywniej ujętych, z ostatnich tygodni. Nie powinna zresztą wywołać zbyt wielkiego zdziwienia w różnych kołach. Byliśmy bowiem świadkami dwugodzinnego, głębokiego przemówienia, jakie miał przed jedenastu laty — a więc w pierwszym roku rządów pomajowych — ppłk. Sławek przybyły z polecenia ś. p. Marszałka Piłsudskiego do Dzikowa, na pamiętny tamtejszy zjazd znacznego odłamu polskiej elity społecznej i naukowej. Wyraźnie zapowiedział wówczas, że zainicjowany przez Marszałka kierunek Naprawy Rzeczypospolitej zmierzać będzie w ostatecznym re-

zultacie do „usymbolizowania się autorytetem korony". Nic dziwnego, że wykonania tej części testamenu Marszałka mamy prawo oczekiwać i to tem bardziej, że rozumiemy po upływie czasu, w którym powyższe słowa zostały wypowiedziane, aż po dzień dzisiejszy całą doniosłość ich znaczenia w specyficznych warunkach Polski i całej środkowo-wchodniej Europy.

I na tem tle sprawa słowacka także odpowiednio się rozwiąże, mimo wszelkich intryg masońskich i czeskiego imperjalizmu.

Sekcja dla spraw zagranicznych
Zw. Polskiej Myśli Państwowej.

„Prometeusz" zdobędzie wolność!

Z przemówienia red. J. St. Czarneckiego podczas dyskusji w klubie „Prometeusz" w W-wie dn. 21.IV.38.

W całokształcie mocarstwowej polityki polskiej, której zasadą winna być racjonalna ekspansja we wszystkich kierunkach — nie można bowiem tylko na jedno ramię nabierać siły — Wschód zajmuje szczególnie wiele miejsca. Wynika to z dyspozycji zarówno geopolitycznej sytuacji, jak i całych dziejów naszych. Mimo bowiem t. zw. odwiecznego konfliktu z Niemcami, który wyraził się nawet w lapidarnym przesłowiu — „jak świat światem — nie będzie Niemiec Polakowi bratem" — najdłuższe i najkrwawsze wojny i boje toczyliśmy ze Wschodem. Na przestrzeni jakich czterech ostatnich wieków z Moskwą wypadło nam przeprowadzić 16 wojen, gdy z Niemcami i Prusami 3 lub 4-ry. Ku Wschodowi też ciążył duch ofenzywy mocarstwowej, unia z Litwą i Rusią udzieliła nam właśnie tej rangi mocarstwowej do której odzyskania dziś aspirujemy. Wreszcie walka z ofenzywą Wschodu w postaci rosyjskiego caratu Romanowych, i uciskiem jego niewoli wypełniła nam dwieście kilkadziesiąt lat. Na wschodzie więc, siłą rzeczy, ma Polska do odegrania i do wygrania swe zasadnicze atuty. Tego faktu w niczem niezmienia przewrót bolszewicki. Niema bowiem de facto żadnej różnicy tej samej ideologji uniwersalistycznej, tylko, że raz to będzie panslawizm, a drugi raz światowa rewolucja, nie unikająca zresztą „słowiańskich" akcentów w razie potrzeby.

Nic więc dziwnego, że polityka polska na dłuższą obliczona to samo nastawienie, oba Polskę traktują jako przeszkodę swej ekspansji, oba też używają i nadużywają jawnie lub podstępnie nieco metę musi orjentować się należycie w tem, co się dzieje w Rosji sowieckiej, musi dokładnie rozważać wszystkie szanse jej unieszkodliwienia. W tych rachubach ważne miejsce zajmuje między imperjalizmem Rosji białej a czerwonej. Oba one mają

sprawa ruchów wyzwoleńczych narodów uciśnionych na terenie Rosji, których związek na emigracji nosi nazwę „Prometeusz".

Aktualne pytanie, które muszą rozwiązać przedstawiciele „Prometeusza", brzmi: — czy w dalszym ciągu opierać swe rachuby na obozie państw, głoszących status quo, obozie pasywizmu i pesymizmu, którego hasłem jest pokój za wszelką cenę i który w imię tego hasła dopuścił do swego grona w Genewie nawet Sowiety, czy też odwrotnie — zacząć się orjentować w stronę obozu aktywizmu, z wielką dynamiką zmierzającego do przekształcenia mapy świata? Czy liczyć na państwa, hołdujące koncepcjom „internacjonalnego" frazeologicznego wyrównania zagadnień politycznych, czy też na państwa nacjonalistyczne w jednostronnych aktach imperjalnych znajdujące narzędzie rozwiązania zagadnień swego bytu i niebytu?

Dziś już jest rzeczą niewątpliwą, że obóz pasywistów, nasyconych traktatem wersalskim nikogo nie dopuścił do dobrodziejstw stąd płynących i że dopiero tę zmowę sytych mocarstw przełamał twardy gest władczy rodzących się nacjonalizmów włoskiego i niemieckiego.

By zdać sobie sprawę z obecnej sytuacji Europy trzeba istotnie cofnąć się ku epoce wolności ludów, jak to uczynił W. Bączkowski w swym odczycie o duchu czasu. W owej to epoce powstał ten duch czasu, który do niedawna jeszcze niepodzielnie rządził Europą, duch rewolucji francuskiej, idącej przez nasz kontynent z hasłem „wolności ludów". Jego nosiciel Napoleon dotarł jedynie ze swą ideą do granic polsko-rosyjskich. Tu elan francuskiej rewolucji się załamał. Dominium absolutum Rosji odparło zwycięsko falę rewolucyjną, która wracając wywoływać zaczęła w Europie szereg przeobrażeń demoliberalnych i socjalnych.

Powstało dziwne zjawisko: swobody polityczne ludy uzyskiwały w ramach nacjonalistycznych, na tle coraz większego uświadomienia narodowego, na tle poczucia suwerenności narodu jako takiego, socjaelekonomiczne wartości szerokie masy osiągały natomiast pod sztandarem internacjonalnym.

W ten sposób powstała sprzeczność i przepaść między interesami politycznemi narodów i interesami ekonomicznemi szerokich mas, sprzeczność — o ile celowa wywoływana — o tyle szczęśliwie wyzyskana do wprowadzenia zamętu w życie państw europejskich, w życie świata.

W każdym bądź razie można zaryzykować powiedzenie, że granica geograficzna — idee mają też swoją geografję — rozpow-

szechnienia się idei rewolucyjnej wolności ludów biegnie niedaleko na Wschód od Wisły.

Przydomek więzienia narodów zdobyła sobie Rosja w okresie XIX wieku, który w pewnej swej części stał przecież pod znakiem i hasłem wiosny ludów.

Hasła rewolucji francuskiej, jeśli chodzi o Europę zachodnią osiągnęły swój pełny sukces w dacie traktatu wersalskiego z jego naczelną, choć oczywiście ani szczerze ani integralnie realizowaną ideą samostanowienia narodów. Lecz granica geograficzna przemian pod egidą paktu Ligi Narodów dokonanych, zatrzymała się na granicy politycznej Rosji.

Nie znaczy to, byśmy zapominali o przewrocie integralnej autokracji carskiej. Narody dawnego imperjum nie odzyskały wolności mimo pozorów federalizmu, jakie stworzył ustrój sowiecki.

Co ważniejsze jednak rosyjska rewolucja, w porównaniu z rewolucją francuską o charakterze bądź co bądź narodowym, nacechowana została ekstremizmem internacjonalnym, poszła pod sztandarem powszechnej rewolucji socjalnej i światowej republiki. Ten jej wywrotowy gigantyzm stanął w opozycji z ustrojem zróżniczkowanej narodowo Europy zachodniej i środkowej oraz wogóle całej t. zw. demokracji europejskiej.

W ten sposób pogłębiał się rozdźwięk między Zachodem i Wschodem, między demokracją mniej więcej przystosowaną do ram etno-historycznych bytu poszczególnych narodów a internacjonalną komuną. Wydawało się, że moment polityczny nacjonalny jest w nieubłaganym konflikcie z momentem socjalnym wygrywającym hasła internacjonalne. Na tym kontraście w każdym bądź razie grała sowiecka Rosja, używając go jako motywu do swej wichrzycielskiej polityki.

Świat został podzielony przez Moskwę na burżuazyjną demokrację i proletarjacką komunę, podzielony czysto mechanicznie. I mechanicznym atakiem zzewnątrz chciał komunizm zlikwidować wrogie sobie zachodnie demokracje. Totalizm komunistyczny, mimo, że pojęty bardzo prymitywnie, nie znajdował właściwie godnego siebie przeciwnika. Stąd płynął poważny rozwój wpływów komunistycznych w szerokich masach krajów europejskich, nie wyłączając Włoch czy Niemiec.

Kres temu naporowi walca mechanicznej rewolucji socjalnej położył rodzący się w Europie nowy ruch polityczny, w sposób organiczny łączący w sobie dotychczas napozór sprzeczne z sobą pierwiastki nacjonalne i socjalne.

Włoski faszyzm i niemiecki nacjonal-socjalizm dały to pozytywne rozwiązanie problemu nowej polityczno-ekonomicznej organizacji, którą napróżno siliła się stworzyć zarówno zwyrodniała parlamentarna demokracja jak i pseudosowiecki komunizm.

Moskiewski komunizm począł się orjentować, że rośnie istotnie groźna potęga „faszyzmów" zdolna go zlikwidować dzięki swemu integralnemu i organicznemu ujmowaniu spraw politycznosocjalnych. I w ratunku przeciw tej groźbie dla siebie komunizm sowiecki, wymyślający dotąd wszystkim od socjal-zdrady i socjalugody, poszedł sam na kompromis z zachodniemi demokracjami pod hasłem frontów popularnych i frontów demokratycznych.

Ten czysto konjunkturalny trick nie wytrzymał jednak próby życia i naporu rozwijających się coraz powszechniej nacjonalizmów, wiążących w swych dążeniach i hasłach w sposób głęboko syntetyczny, można powiedzieć korporalny, moment interesu narodowego z interesem społecznym.

I prący zwycięsko naprzód ruch neonacjonalistyczny włoski i niemiecki począł w ustabilizowanej demokratycznej Europie, która w imię status quo dopuściła do Genewy nawet Sowiety, tworzyć nowe kształty polityczne. Począł przekształcać mapę Europy, ale przekształcać w imię przesłanek racjonalnych i sprawiedliwszych od hasła powszechnej rewolucji, znoszącej coprawda wszystkie granice ale jednocześnie przynoszącej unifikację powszechnego niewolnictwa, chcącej z całego świata stworzyć więzienie narodów. Totalne więzienie.

Zatem mamy już wyraźnie zarysowane aut, aut... Z jednej strony perspektywa utrzymania więzienia narodów pod auspicjami pacyfistycznej Europy, ba nawet możliwość rozszerzenia go w momencie rewolucji na cały świat, z drugiej strony perspektywa ataku na podstawy tego więzienia, ataku wojennego.

Hasło tego ataku dają państwa nacjonalistyczne, podkreślające możliwość a nawet konieczność tworzenia ideowego bloku antybolszewickiego. Rzucają to hasło wbrew demoliberalnej Europie, z Anglją, Francją i Czechosłowacją na czele, która w imię t. zw. pokoju skłonna jest pobłogosławić Rosję Sowiecką w jej roli tyrana ludów. L'ordre regne en Russie — tak głosi Europa demokratyczna. Europa nacjonalistyczna, Europa idąca w ślad ideologji Duce i Führera twierdzi, że Rosja jest najstraszniejszą despotką świata, że Rosja niesie całemu światu zarzewie niepokoju, nieładu, rewolucji. I ta Europa nacjonalistyczna —

w imię zasadniczej ideowej opozycji — wzywa do krucjaty przeciw Sowietom.

Nie ulega chyba wątpliwości, że uciśnione w Rosji narody „Prometeusza" mogą znaleźć prawdziwych sojuszników tylko w Europie nacjonalistycznej, że zatem muszą zerwać ze złudzenia o pomocy Europy demokratycznej, o pomocy idącej z Genewy. Nie papierową deklaracją rozstrzygnie się przyszłość narodów Prometeusza. Ogień wolności zdobyć można nie deklamacją, nie gabinetowymi zabiegami pod znakiem Afrodyty, ale mocnym, heroicznym gestem Prometeusza.

Idą czasy, gdzie nie frazes lecz czyn będzie decydować. Czasy, kiedy trzeba siodłać konie, ostrzyć szable, a nie pisać memorjały.

Dla narodów Prometeusza bije godzina. Możliwość zaatakowania Rosji na dalekim Wschodzi, wybuch zbrojny konfliktu rosyjsko - japońskiego — z czem wszyscy przenikliwsi politycy się liczą — oznacza hasło irredenty.

A w tej godzinie decydującej Polska nie pozostanie ani obojętna, ani bezczynna. Przyszłościowa polityka polska zawsze uważała i uważa za konieczność rozbicie imperium rosyjskiego na mniejsze, narodowe fragmenty, zarówno w mię tradycyjnego hasła „za naszą i waszą wolność" jak w imię dobrze zrozumianego własnego bezpieczeństwa.

Neonacjonalizm polski temu postulatowi niewątpliwie doda tylko znaczenia i aktualności. Niech więc narody „Prometeusza" uczynią rachunek polityczny swej sytuacji i dokonają wyboru drogi działania tak, by rzeczywiście zaprowadziła je do wolności tak upragnionej i tak należnej.

Sprawa „Prometeusza", sprawa przełomu w dotychczasowym bytowaniu Rosji Sowieckiej wiąże się z zagadnieniem możliwości wybuchu wojny.

Mówić dziś o wojnie, to znaczy mówić o zjawisku bliskim w czasie i przestrzeni. Ci, co jeszcze lat temu kilka odkładali możliwość wojny na lat pięćdziesiąt, a więc na rachunek następnego pokolenia, dziś już nie próbują przeczyć, gdy jako termin prekluzyjny wymienia się najbliższe lat dziesięć. Zagadnienie przyszłej wojny dla nas jest o tyle też ważne, że terenem jej będzie wschód Europy wraz z jego azjatyckiemi przeległościami. Więc powiedzmy Eurazja. Cóż zatem może obchodzić wojna azjatycka nas, Europejczyków? Tak gotów jest powiedzieć niejeden Polak i powołać się na opinję b. posła polskiego w Mad-

rycie, hr. W. S., który nawet Hiszpanji nie był skłonny zaliczać do Europy.

Powiedzmy, że problem geopolitycznej przynależności Hiszpanji dla nas może mieć mniejsze znaczenie — jakkolwiek potomkom bohaterów Samosierry i Saragossy nie wypada znów zgłaszać tak kompletnego „desinteressement" co do tego, co się dzieje w Hiszpanji. Nasi obserwatorzy mogli by się tam niejednego nauczyć.

Ale znacznie więcej interesu przedstawia dla nas problem Eurazji i najbliższego jej losu. Stoi on niewątpliwie pod znakiem Marsa. Możliwość konfliktu japońsko-sowieckiego jest realna bez żadnej kwestji. Wybuch zaś wojny na Dalekim Wschodzie stwarza dla wewnętrznych stosunków Rosji niezwykłe niebezpieczeństwo, analogiczne do wybuchu rewolucji po klęsce 1905 r. Tym razem jednak będziemy mieli do czynienia nie z rewolucją socjalną, lecz z irredentą niepodległościową narodów uciśnionych. Niezależnie więc od pożaru wojennego na Wschodzie, Rosja europejska w pewnej chwili może się rozpaść na szereg ognisk walki, o wyraźnej tendencji separatystycznej.

Jeśli Józef Piłsudski widział w wybuchu wojny japońskiej sygnał dla sprawy polskiej, to czyż takiego sygnału nie powinniśmy dostrzec my, spadkobiercy jego ideologji, w zarysowującym się nowym konflikcie na D. Wschodzie? Czyż ma fakt ten utonąć w kompletnej obojętności i ignorancji społeczeństwa, jak to było trzydzieści lat temu? Czy nie zdobędziemy się na plan ingerencji i ofensywy, który by te ewentualne procesy dekompozycji Rosji doprowadził do pomyślnego wyniku?

Bo jakaż jest alternatywa? Jeśli Rosja da sobie radę na Wschodzie, jeśli stłumi irredentę wewnętrzną narodów uciśnionych, w takim razie z nieomylną koniecznością ruszy na nas, jako na forpocztę Europy. A wtedy znów stanie się realnym widmo soboru na placu obecnie Marsz. Piłsudskiego (respective może być to muzeum bozbożnicze), ba, co więcej, sobór taki planowany być może i na rynku marjackim Krakowa, co przyświecało przecież ofensywie rosyjskiej w r. 1914. Niechby jako zmora senna przyśniło się to widmo soboru w Krakowie niejednemu leniwego umysłu Polakowi; może nauczyłby się wtedy arkanów przewidywania politycznego. Czy nie jest rozsądniej, miast czekać na wkroczenie nieprzyjaciela we własne granice, podjąć samemu ofensywę, a powiedzmy przejść do ingerencji i wraz z nią przenieść teatr wojny o 1.500 km. od Warszawy? Wobec tego problem irredenty narodowościowej w Rosji, na tle uwikła-

nia się jej w wojnę na D. Wschodzie, nabiera pierwszorzędnego znaczenia dla Polski. Los daje nam w ręce nową wielką okazję, podobną do tej, jaką mieliśmy w okresie Batorego. Nowe „smutnoje wremia", opanowujące Rosję, stwarza dla nas sposobność rozprawienia się z wrogiem odwiecznym.

Okolicznością sprzyjającą jest przy tem konflikt zachodzący między Niemcami i Rosją. Wypadek to na ogół rzadki w stosunkach długotrwale opartych na porozumieniu skierowanym przeciw Polsce — tym bardziej należy go wykorzystać na naszą korzyść. Zresztą na dnie tego porozumienia Niemiec z Rosją tkwił właściwie zawsze moment eksploratorski. Niemcy bardzo głęboko wdarły się w głąb życia rosyjskiego, począwszy od dynastji, przez wyższą administrację i generalicję kończąc na przemyśle i handlu. A czyż wprowadzenie komunizmu do Rosji nie jest również dziełem niemieckiej prowokacji? Oczywiście zarówno wyniki wojny w r. 1914/18, jak i efekt rewolucji 1917 r. ostatecznie nie przyniosły Niemcom opanowania Rosji. Tym niemniej podstawowa ich tendencja „Drang nach Osten" nie zamarła. Przeciwnie stanowi przedmiot zasadniczej troski i aspiracji.

Na zachodzie niewątpliwie Niemcy nie mają do osiągnięcia nic poważniejszego. Historyczne ich rewidynkacje na tym odcinku (Alzacja, Lotaryngja, Eupen — Malmedy), to są raczej platonica. Natomiast Wschód stanowi pole ogromnych możliwości ekspansyjnych. Dla Polski nie ma interesu, by w tem specjalnie przeszkadzać, przeciwnie chodzi raczej o ułożenie toru tej ekspansji z korzyścią dla nas. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy ani poprzez nasze głowy, ani wbrew nam nie pójdą na wschód. Muszą nas albo zgnieść, albo zjednać do współpracy.

I my również, choć mamy drogę otwartą, sami w pojedynkę nie podołamy zadaniu rozprawienia się z Rosją. Nie doprowadziliśmy przecież do końca wyprawy Batorego, choć prężność nasza była tak wielka, że mowa polska była wtedy językiem moskiewskich „salonów". Nie zyskaliśmy nic przy Napoleonie, którego wyprawa się załamała. Dziś mamy już możność oceny istoty problemu strategicznego, streszczającej się, zdaniem naszym, w braku oparcia się na drugim niezbędnym torze ataku na Rosję, szlaku południowym, ukraińskim. Znaczenie tego szlaku oświetlili ostatnio historycy (Ilko Borszczak. „Napoleon i Ukraina". 1937). Natomiast wyprawa kijowska r. 1920 nie powiodła się wskutek braku zabezpieczenia od północy, skąd spadła konnica Budiennego. Stąd aksjomatem staje się twierdzenie,

że pomyślny obrót wyprawy na Rosję jest w prostym związku z wkroczeniem na oba szlaki wojenne. Trzeba się będzie nimi podzielić i to chyba z Niemcami. Niech sobie idą na północ, mścić klęskę sprzed lat siedmiuset na jeziorze Czudskiem. My pójdziemy na południe. Myśleć o tym nie jest rzeczą zdrożną. Przeciwnie jest koniecznością, dowodzącą przezorności politycznej.

Zagadnienie obronności stanowi w ZSRR już od dawna przedmiot poważnej troski i akcji. Zagadnienie to znalazło zupełnie nowe, i niewspółmierne prawie z niczym nie wyłączające słynnej linji Maginota, rozwiązanie. Mamy tu na myśli wielkie przedsięwzięcie usprawnienia północnych szlaków morskich i w ogóle stworzenia komunikacji arktycznej. „Rosja potężnym ciosem rozwarła dla siebie zamarznięte okno na rozłogi świata, ujęła we własne ręce wejście doń" (H. P. Smolka, „Soviet Strategy in the Arctic", Foreign Affairs I 38). Lot ANT 25 w lecie 1936 roku pilotowanego przez Szkwałowa był efektem nieomal teatralnym, który zwrócił uwagę świata na wytrwałe przygotowania Sowietów na północy.

O rozmiarach tego dzieła świadczyć może lapidarny tytuł artykułu korespondenta amerykańskiego „Timesa": „40.000 agentów Arktyku" („40.000 Agents of the Arctic"). Blisko 5 miljardów dolarów włożono w stworzenie potężnej organizacji komunikacyjnej, której prawdziwym dyktatorem jest prof. Otto Szmidt (ewentualnie był, jeśliby przyjąć za pewnik, że po jego aresztowaniu z powodu żony został zwykłą sowiecką koleją rzeczy—rozstrzelany). — Stoi on na czele Gław sew morput (głównego urzędu północnej morskiej drogi), obejmującego olbrzymi teren 10.000.000 kilometrów^2 powyżej 62 równoleżnika. Stworzono tu cztery bazy dla lodołamaczy i flotylli specjalnie do północnej służby przygotowanych przeszło stu statków i wreszcie hydroplanów. Zorganizowano poza tym doki i warsztaty przy ujściach rzek Obi, Jeniseju i Leny (Nowyj Port, Igarka Tichyj). W ten sposób od Murmańska do Władywostoku powstał olbrzymi szlak wysiłkiem, który same Sowiety nie bez racji porównują z brytyjską kampanją Indji Wschodnich. Murmańsk leżący nad Golfsztromem pozwala utrzymywać stałą pełnosezonową żeglugę w kierunku Atlantyku z pominięciem Skandynawji i Kielu.

W okresie letnim idzie również droga do Pacyfiku. Wyjście zaś z Bałtylku daje kanał Białomorski, którego głębokość najprawdopodobniej jest przystosowana do statków oceanicz-

nych. Murmańsk eksploatuje koncesje węglowe na Spitzbergu. Igarka leżąca prawie u delty Jeniseju stanowi punkt węzłowy transportu surowca dla zakładów budowy maszyn Rosji środkowej. Wyspa Dicksona jest centralą telekomunikacji na cały obszar podbiegunowy. Nowyj Port na Obi ogniskuje tranzyt zboża, węgla, bawełny aż z Azji środkowej. Port Tichyj na Lenie wymienia transporty od Bajkału do cieśniny Berynga. Tu jest punkt węzłowy syberyjskiej produkcji złota. Dudinka-Nowińsk służy do przewozu rud, przedewszystkiem metalu. Nordwik zaopatruje w sól suszarnie ryb a w naftę całą północ.

W ten sposób „całe to zaplecze północno - azjatyckie — pisze Smolka — nabiera charakteru linji frontowej w polityce arktycznej uświadomionej Rosji". Rosja po raz pierwszy w historji dzięki zorganizowaniu tej wewnętrznej drogi imperjalnej została zabezpieczona od przewagi flot obcych i ustaliła sobie drugi łącznik obok linji transsyberyjskiej ze swoim o 20.000 wiorst odległym krańcem wschodnim. Wartość tego łącznika występuje szczególnie mocno w chwili zajścia konfliktu wojennego, w którym Niemcy zablokowałyby od Bałtyku Leningrad, Japonja zajęłaby Władywostok i przecięła trassyberyjską linię. Wówczas sowieckie okręty będą mogły przejść wewnętrznym szlakiem z wód europejskich na wody azjatyckie, ta sama droga służyć będzie dla wszelkich transportów. Na wypadek zbliżenia z Kanadą i U. S. A. szlak arktyczny zapewni nadejście pomocy, nieomal poza kontrolą innych mocarstw. W ten sposób Sowiety zrealizowały dumną koncepcję arktycznego władztwa Wikingów, o której mówił z takim zapałem ów ryży norman, przyjaciel Bronisława Piłsudskiego. Jeśli nawet nie stworzyły przez to szerszej podstawy ataku, to w każdym bądź razie powiększyły szanse choć częściowego powetowania dawnych klęsk.

Prasa estońska i koła polityczne zwracają uwagę na coraz lepiej dającą się wyczuć atmosferę pogotowia wojennego. Nad granicą estońską a częściowo łotewską budowane są podobno w pośpiesznym tempie umocnienia, a mieszkańcy osad nadgranicznych wysiedlani są w głąb Rosji. Podobna akcja rozwija się jakoby i w rumuńskim pasie nadgranicznym, jak dają o tym znać uciekinierzy z Żytomierza. Dążenia rządu ZSRR do pozbycia się zagranicznych placówek konsularnych w Leningradzie są również związane z pogotowiem wojennym w przewidywaniu rychłego konfliktu na Dalekim Wschodzie.

Wiemy, z jaką to pompą zebrał się nowy naczelny sowiet Z. S. R. R. Były mowy, a następnie załatwione zostały różne

„drobne" formalności, dotyczące wyboru władz. Stalin po staremu został sekretarzem, co zresztą nie przeszkodzi mu w niczym trzymać wszystko „za mordę", na przestrzeni od Niegorełoje do Władywostoku i od sołowieckich ostrowów po Erywan. Spośród ciekawych fakcików warto jedynie zanotować wysokie diety i uposażenia, jakie przyznał sowiet delegatom, a zwłaszcza przewodniczącym; 300.000 rubli rocznie to jest cyfra okrągła jak na demokrację komunistyczną. W ten sposób Związek Sowieckich Republik Rad ma ukonstytuowaną, no i dobrze „zabezpieczoną" naczelną swą radę.

Natomiast doły partyjne i wogóle cały niższy aparat administracyjny, są w kompletnym rozgromie i dekompozycji. Stan rzeczy w wielu obwodach jest nieomal katastrofalny. Żelazna miotła Stalina starła z powierzchni ziemi po prostu wszystkie „wierzchołki" i to tak gruntownie do korzenia, że nie ma w wielu wypadkach mowy o pociągnięciu nowych sił na kierownicze stanowiska. Szczególnie dekompozycja zaciążyła na stosunkach rolnych, co nawiasem mówiąc świadczy, że piętą achillesową reżimu jest po staremu wieś i chłop. „Zupełnie nie do utrzymania jest taki stan rzeczy, kiedy wiele urzędów rolnych oraz stacji maszynowo-traktorowych i sowchozów pozostało bez funkcjonarjuszy na stanowiskach kierowniczych. Zbędne jest wyjaśnianie, jak brak funkcjonarjuszy w urzędach rolnych odbija się na przygotowaniach do siewu.

Tak biada „Prawda" z 7.I.1938 roku i wskazuje konkretnie na sześć powiatów okręgu donieckiego. Podobne skargi wywodzi dziennik kijowski „Komunist" (11.I.1938), mówiąc o okręgu połtawskim, dniepropietrowskim itd. Wogóle cała Ukraina, jak stwierdza „Legkaja Industria" (16.XII.1937) leży w upadku nie tylko na odcinku rolniczym, ale i przemysłowym: „W komisarjacie (przemysłu dóbr użytkowych) wszystko ma charakter tymczasowy, zwłaszcza kadry kierownicze. Nie ma naczelników w zarządzie przemysłu włókienniczego, konopniano - jutowego, skórzanego i szklanego... Nie ma naczelników w wydziałach planowo-ekonomicznych oraz w wydziale statystycznym". Ale i z Uralu, (okręg swierdłowski) dochodzą podobne skargi („Prawda" 11.I.1938, nr. 11).

„Manchester Guardian" (25.I.38) reprodukuje fotografię zamieszczoną w „Prawdzie" 6.VII.35 r. w dniu święta sowieckiej konstytucji. Fotografia przedstawia prezydentów 7 republik ZSRR, wchodzących w skład WCIK-a. Aforyzm pod fotografią głosi, że w Sowietach „panuje wzajemne zaufanie, swoboda

i spokój wewnętrzny", dla kontrastu na czarno maluje sytuację krajów faszystowskich. — „Man. Guardian" stwierdza, że z tych 7 prezydentów 5 zlikwidowano, oskarżając ich o szpiegostwo i zdradę stanu. Wymieniając te nazwiska dziennik przy okazji wskazuje, że z 4 pozostałych republik związkowych w trzech również przeprowadzono „likwidację" szefów: Lubczenko — szef Ukrainy, popełnił samobójstwo, Gołodiew — szef rządu Białorusi, również „sam" się zabił, a szef rządu republiki rosyjskiej, Sulimow, poszedł w odstawkę. Następca Lubczenki — Bondarenko i następca Gołodiewa — Wołkowicz po kilku tygodniach również zostali usunięci.

Terror likwidacyjny w Sowietach zastępuje system emerytalny w państwach zachodnio-europejskich. — A czyż nie dokonano istnego rozgromu w komisarjacie obrony oraz spraw zagranicznych? Woroszyłow, Litwinow pozostali, ale ich najbliżsi pomocnicy zostali usunięci. Karachan — rozstrzelany, Krestinskij— usunięty. W komisarjacie obrony wszystkich czterech zastępców Woroszyłowa „zemerytowano" gruntownie. Tuchaczewski został rozstrzelany, Gamarnik popełnił samobójstwo, Orłow — bez hałasu „załatwiony". Przy takim systemie „emerytalnym" obronność Rosji stawiać można pod znakiem zapytania.

Z tego wynikają bardzo ważne wnioski. Pierwszy dotyczący dekompozycji dołów administracyjnych i partyjnych już podkreśliliśmy. Czyni on iluzoryczną całą władzę naczelnego sowietu nad krajem. Drugi jest o wiele ważniejszy. Ta dekompozycja występuje szczególnie na terenach sfederowanych republik poza centralną Rosją. Więc Ukraina, Don, Idel-Ural. Stwierdza to, że władza sowiecka coraz trudniej znajduje oparcie na terenach innych narodowości. I nic dziwnego, ludy federacji sowieckiej coraz głębiej rozczarowują się do wspólnej „sowieckiej ojczyzny". Fakt ten określa mocno organ „Simali Kafkasja" (nr. 36, rok 1937) w art. B. Biłłatija: — „Dzisiejszy sowiecki federalizm to... fikcja, pod pozorem której przeprowadza się starodawną, znaną politykę rusyfikacji i pochłaniania. Nie może być innym jakikolwiek zresztą federalizm, jakiekolwiek bądź współżycie pod „wspólnym imperialnym dachem", którym oszukują uciskane narody różne eurazjatyckie i tym podobne syreny wśród rosyjskiej emigracji. — „Imperjalny dach" musi runąć", konkluduje B. Biłłati. — Uciskane narody muszą odzyskać wolność, mają prawo osiągnąć niepodległość. — Ten postulat na tle sowieckiej rzeczywistości, w której naczelnym zjawiskiem jest dekompozy-

cja właśnie owych sfederowanych republik, wydaje się w tej chwili nabierać aktualności.

Przejawów potęgowania się ruchów wyzwoleńczych jest coraz więcej. — 21.V.1937 odbył się w berlińskim klubie Humboldta, staraniem redakcji „Kurtułusz", odczyt Eminbeja Rasul-Zade na temat „Zagadnienia Asserbejdżanu". Interesujące są konkluzje, jakie po odczycie zrobił prof. Gotthard Jeschke, wybitny tuurkolog Uniwersytetu Berlińskiego. Wyraził on nadzieję, że dzisiejsza III Rzesza nie popełni błędu starych Niemiec i uzna, że Rosja — to nie jeden naród, a konglomerat narodów, walczących o swe naturalne prawo wolności i niezależności. Należy sobie dobrze zapamiętać tę deklarację niemieckiego profesora. Świadczy ona o poważnym zwrocie w opinii niemieckiej na tle głębokich przemian, jakie zachodzą w strukturze organizacji i administracji, a co ważniejsza psychice sfederowanych narodów ZSRR. Wynurzenia red. Bajtugana na łamach „Simali Kafkasja" w odpowiedzi na wywody prof. O. Górki, wskazują na daleko posunięty rewizjonizm politycznych pojęć, na konsolidację opinji kaukaskiej i wyzwolenie jej spod hypnozy „wielikoj, niedielimoj". Kaukaz, który dał Rosji Stalina (Dżugaszwili) i Kiziem-Beka, szuka dziś wodza dla dzieła własnego wyzwolenia. Kaukaz nie chce być pomostem dla wzrostu potęgi Rosji i dalszego jej rozkwitu imperjalnego.

Puszkin w czasie pobytu na Kaukazie pisał do swego brata: „Kaukaz... Należy mieć nadzieję, że ten zawojowany kraj, dotąd nie przynoszący Rosji żadnego pożytku, obecnie szybko posłuży do bezpiecznego zbliżenia handlowego z Persami, przestanie być przeszkodą w przyszłych wojnach — a przez to, być może, urzeczywistni się chimeryczny plan Napoleona co do zawojowania Indii". Te plany mogą stać się na zawsze już nierealne, jeśli Kaukaz dotrzyma swego irredentycznego programu i wespół z innymi uciśnionymi narodami stanie do rozgrywki z Rosją. A chwila obecna zdaje się temu sprzyjać.

Opinji polskiej znane są z różnych okazji plany polityczne von Rosenberga, dotyczące europejskiego wschodu. Jest w nich i dla Polski przewidziana rola i są dla nas ponętne sugestie, sprowadzające się do zagadnienia podziału sfery wpływów i związanego z tym wyrównania granic. Że plany te w ich całości nie są koncepcją li tylko fantazji politycznej, oderwanej od życia, o tym wydaje się świadczyć istnienie wojskowych planów operacyjnych. Interesujące wysoce rewelacje na ten temat przynosi niedawno również i na polski język przyswojona książka niemiec-

kiego pacyfisty Bertholda Jacoba pt. „Nowa armia niemiecka i jej wodzowie". Autor, jak wiadomo, za swą robotę demaskacyjną został „ukarany"; porwano go na terytorjum Szwajcarji i wywieziono wgłąb Niemiec, gdzie najprawdopodobniej gryzie już ziemię. Nawiasem dodajmy, że nie od dziś miał on szczęście narazić się opinji wojskowych kół niemieckich. Jeszcze w roku 1925 w memorjale niemieckiej Ligi Obrony Praw Człowieka zdemaskował projekty militarne generała Seeckta. Memorjał ten generał Gessler określił jako „w skutkach gorszy od zdrady stanu, jakkolwiek tak go prawnie nazwać nie można".

Nie kłopocąc się zbytnio o nazwę, postarajmy się zorjentować bliżej w treści nowego dzieła B. Jacoba. Stwierdza on przede wszystkiem, że niemiecki sztab wbrew zakazom traktatu wersalskiego pracował bez przerwy nad planami operacyjnemi. Wśród nich znalazły się również plany dotyczące Wschodu: operacji przeciw Polsce oraz operacji północno-wschodniej nadbałtyckiej. Jacob na wstępie swych rozważań podkreśla, że w całokształcie tych planów wzgląd na sojusz niemiecko-polski oraz wciągnięcie Polski do udziału w wyprawie na Ukrainę, nie grają właściwie żadnej roli. Niemcy zdają sobie sprawę z tego, że Polska nie zgodziłaby się na wojskową okupację niemiecką, choćby to miało przynieść jej jako rekompensatę zdobycie Kijowa. Również i dla Niemiec nie byłoby to bezpieczne. Najmniejsza zmiana położenia na froncie, mogłaby wywołać reakcję ze strony Polski i zagrozić tyły niemieckiej armji.

Poza tym ukraińska kampanja wymagałaby ogromnych mas wojska, co zmuszałoby Niemcy do zastosowania wyłącznie defensywy na innych frontach. Ogromne wreszcie przestrzenie, na których trzeba by prowadzić operację, przyczyniłyby się do zagubienia się bez decydującego zwycięstwa. W tych warunkach cała ofensywa wschodnia Niemiec — według B. Jacoba — pomyślana została jako manewr uzupełniający i wspierający akcję na Zachodzie. Chodziło więc o szybkie złamanie oporu Polski mocnymi uderzeniami. W razie pomyślnego przeprowadzenia tego planu — w co zresztą sztabowcy niemieccy nie wątpili — miała zostać stworzona milicja spośród ludności niemieckiej, zamieszkałej w Polsce, a główne masy wojska przerzucone do Francji dla uzyskania zwycięstwa, uwieńczonego „pokojem wyrównującym".

Zapoznajmy się teraz ze szczegółami operacji wschodniej. Według tego planu koncentracja głównych sił skierowanych prze-

ciw Polsce miała być dokonana nad Odrą na wschód od Frankfurtu. — Nagłe uderzenie armji środkowej miało wyjść z rejonu koncentracji w okolicy Piły (Schneidemühl) i Wałcza (Deutsch Krone) w kierunku na Poznań i poprzez dawną rosyjską granicę na Płock i Łowicz. Operacja ta miałaby na celu: 1) przeciąć nową linję kolejową Katowice — Gdynia (magistralę węglową), 2) zmusić polską armję pomorską do opuszczenia „korytarza" i do szybkiego odwrotu w kierunku Torunia pod groźbą jej odcięcia. Drugie oskrzydlające armię pomorską uderzenie miało wyjść od Kwidzynia i Suszu (Rosenberg) i prowadzić aż do Iławy przez Grudziądz i Toruń. Przy pomocy tych dwu oskrzydlających uderzeń armia polska na Pomorzu miałaby zostać usunięta z „korytarza".

Plan ten — podaje dalej autor — nie przewidywał operacji przeciw Gdańskowi lub „korytarzowi". W południowej części frontu miała być stosowana obrona. Granicę Śląska miały osłaniać siły złożone z kilku oddziałów kawalerji i znacznej ilości straży granicznej. W razie posiadania wystarczających sił zamierzał generał Seeckt poprowadzić również działania ze Śląska z rejonu Kluczborka (Kreuzberg) i Olesna (Rosenberg) w kierunku na Piotrków i Łódź. — W razie wystąpienia Niemiec przeciw Rosji pozostaje dla nich poza Polską środkową jedynie droga przez państwa bałtyckie. — Odnośnie do drogi przez Polskę podaje autor, że wyzyskana nawet w najbardziej pomyślnych warunkach byłaby ona dla Niemiec połączona z dużymi trudnościami. Natomiast wyprawa przez państwa bałtyckie dałaby realne rezultaty w stosunkowo krótkim czasie, a celem jej byłoby: 1) w pierwszym rzędzie odcięcie Rosji od Bałtyku i zajęcie Leningradu, następnie 2) nawiązanie łączności a nawet stworzenie współdziałania z Finlandją, wreszcie 3) po opanowaniu całkowitym Morza Bałtyckiego (Bałtyk miałby się stać wówczas wewnętrznym morzem niemieckim) — próba skłonienia Szwecji do wystąpienia przeciw Rosji. — Te plany operacyjne w dużym stopniu pokrywają się z operacjami, jakie zostały wykonane w roku 1914. Są oczywiście różnice. Te różnice wyniknęłyby zwłaszcza, gdyby wzięto pod uwagę w szerszym stopniu plany polityczne Rosenberga. W każdym bądź razie dobrze jest uprzytomnić sobie, do czego Niemcy zmierzają. Jest to konieczne tym bardziej, że żaden inny naród na świecie nie układa swej polityki tak ściśle według planów swego sztabu, jak to robią Niemcy.

Oto skrótowe ujęcie najważniejszych przesłanek naszej polityki na wschodzie. Czas o nich poważniej pomyśleć, rychło bowiem zdarzyć się może, że trzeba będzie działać.

Józef St. Czarnecki.
Streszczenie odczytu w Klubie „Prometeusz".

Nowa inwazja czerwonej Moskwy[1])

Dwa lata minęły od czasu oddania przez nas do druku „Bolszewickiej Prawdy" jako osobnej broszury, pochodnej naszego wydawnictwa. Przez ten czas nie tylko sprawdziło się co do joty wszystko to, co stwierdziliśmy i przepowiedzieli w 15.000 egzemplarzy dwóch wydań tej rozprawy, ale — co więcej — czerwona Rosja, pod absolutną dyktaturą Stalina, runęła z niebywałą przedtem rozkładową mocą na cały świat cywilizowany, a w pierwszym rzędzie oczywiście na Polskę i odsłoniła swą „bolszewicką prawdę" w całej nagości i czelności.

Kto więc dziś jeszcze w Polsce grozy niebezpieczeństwa bolszewickiego jasno nie widzi i nie rozumie lub nie chce widzieć i rozumieć, ten albo jest jawnym zdrajcą zarówno kraju, jak i pracujących uczciwie mas ludowych, albo jest beznadziejnym głupcem, któremu wcąż jeszcze wydaje się, że krwawe katy moskiewskie mogłyby i chciałyby dolę ludu polskiego poprawić. A na taką głupotę, na taki ślepy upór po dwudziestu latach widoku niewoli i katastrofy, w jaką naród rosyjski bolszewickie rządy wtrąciły — niema już zaprawdę argumentu, ani lekarstwa. Kto chce być jeszcze w dalszym ciągu naiwnym i głupim, ten niech modli się przed fotografią Stalina i moskiewskiej żydo-komuny, aby mu stworzyła raj robotniczy i chłopski na ziemi. Trzeba przedewszystkiem dobrze wiedzieć, że Stalin, nowy dyktator Rosji po Leninie, widząc, iż rozszalała przez kilkanaście lat propaganda rosyjsko-bolszewicka po całym świecie nie przynosi jednak pożądanego przez bolszewików rezultatu — bo inne narody zbyt są mądre, aby niszczyć się i podawać niewolniczo Moskwie przez przyjęcie systemu żydo-komuny — postanowił przed paru laty powstrzymać nieco rozpęd tej propagandy za granicę Rosji i skierować wszelkie wysiłki przedewszystkiem

---

***) Ogłaszamy niniejszym nowe uzupełnienie „Bolszewickiej Prawdy", przygotowane dla ewentualnego trzeciego jej wydania. „Pisana dla ludu, ale z pewną myślą i o sferach inteligencji".**

na wewnętrzne wzmocnienie i ostateczne skomunizowanie państwa rosyjskiego, aby potem dopiero ruszyć z tem większą mocą na komunistyczny podbój inych państw.

Otóż ten plan nie powiódł się Stalinowi. Mimo wszelkich usiłowań, mimo znanych powszechnie procesów i rzezi, urządzanych przez Stalina, państwo rosyjskie i komunizm w samej Rosji nie tylko nie wzmocniły się w ostatnich latach, ale wprost przeciwnie różne warstwy narodu rosyjskiego, nawet wśród rdzennych bolszewików, zbuntowały się przeciw krwawym, iście mongolskim metodom rządów Stalinowskich, religja prawosławna, a więc bądź co bądź chrześcijańska, zaczęła budzić się wśród szerokich mas ludu rosyjskiego, a inne narody, wchodzące w skład rosyjskiego Związku Republik Sowieckich, zaczęły wyraźnie objawiać dążność oderwania się i wyzwolenia ze szponów czerwonego moskiewskiego upiora.

Nastąpił wreszcie niedawno moment, w którym stało się jasnem, że dalsza krwawa polityka moskiewsko-bolszewicka zaczyna przegrywać na całej linji i grozi poprostu rozpadnięciem się olbrzymiego państwa rosyjskiego.

W takiem położeniu chwycił się Stalin dwóch środków rozpaczliwych: po pierwsze, zarządził krwawą komedię znanych powszechnie procesów o rzekomą zdradę stanu, które kończą się masowem rozstrzeliwaniem najwyższych wojskowych, polityków, dyplomatów, uczonych i inżynierów sowieckich oraz wielu prezesów poszczególnych republik Związku Sowieckiego i to wcale nie jakichś burżujów, których w obecnej Rosji wogóle już niema, ale rdzennych i zasłużonych dla komunizmu bolszewików — a powtóre, rozpalił na nowo olbrzymią propagandę komunistyczną na całej kuli ziemskiej.

Ta ostatnia metoda jest typową dla wszystkich władców Rosji, poczynając jeszcze od dawnych czasów carskich. Ilekroć bowiem miała Rosja jakieś wewnętrzne trudności, to zamiast racjonalnie je załatwiać, wypowiadała wojny swoim sąsiadom, aby w ten sposób odwrócić uwagę ludu rosyjskiego od jego wewnętrznej niedoli, a skierować ją na walki zewnętrzne. Robił to każdy car rosyjski i naśladuje to w tej chwili Stalin.

Różnica leży tylko w tem, że gdy dawni carowie mobilizowali armje i rzucali je na Azję lub Europę, to Stalin i rządzące z nim razem najbliższe jego otoczenie, nie będąc pewni sprawności armji sowieckiej, gdyż ona także bardzo jest niezadowolona z panujących w Rosji stosunków, rzucają na świat cały nie wojska, lecz chmary bolszewickich agentów i wielkie ilości pie-

nędzy oraz bibuły propagandowej, aby wywołać wszędzie bunty, zamieszki i bolszewicki rozkład ludów chrześcijańskich i azjatyckich i w ten sposób przygotowywać moment, w którym wojska czerwone bez większego trudu mogłyby kolejno różne państwa zbrojnie okupować. Nowoczesna więc taktyka czerwonych katów moskiewskich, ze Stalinem na czele, ma taki plan: zatruć inne narody perfidną doktryną komunistyczną, a przez to osłabić je, sparaliżować ich odporność, a w końcu tak wewnętrzne rozsadzić, aby mogły się stać łatwym łupem dla zachłannego imperjalizmu Moskwy. Komunizm więc służy obecnym władcom Rosji przedewszystkiem jako niesłychanie agresywny, trujący środek do właściwego celu, a tym celem jest podbicie przez Rosję jak największej ilości innych narodów i uczynienie z nich niewolników moskiewskiej żydo-komuny.

NOWE METODY BOLSZEWICKIEGO PODBOJU.

Zarówno praktyczne badania w polskim terenie, jak i powszechnie już wiadome „tajne“ instrukcje moskiewskiego Kominternu, wydane w formie ulotek i broszurek dla różnych zjazdów międzynarodówki komunistycznej, wykazują bez żadnej wątpliwości, że obecny system przenikania rosyjskiego komunizmu do innych narodów jest całkiem odmienny od poprzednich metod bolszewickich.

Gdy bowiem czerwoni władcy moskiewscy i ich agenci w różnych państwach przekonali się, że otwarte występowanie z doktryną komunistyczną i rozwiniętymi czerwonymi sztandarami sierpa i młota nie przynosi rosyjskim bolszewikom w innych państwach prawie żadnego trwałego rezultatu, a nawet przeciwnie, wywołuje żywiołowy opór przeciw komunizmowi we wszystkich sferach społeczeństwa — wówczas chwycili się kierownicy akcji komunistycznej całkiem innego systemu, który zrodzić się mógł, mówiąc bez przesady, chyba tylko w perfidji szatana. Zalecili mianowicie kierownicy bolszewizmu wszystkim swym agentom i podwładnym patrjotom komunistycznym na całym świecie, aby mniej i rzadziej występowali na zewnątrz z jaskrawemi hasłami bolszewickiemi, a za to wciskali się w każdem państwie we wszelkie organizacje, partje polityczne i instytucje, ukrywając swój bolszewizm, a natomiast występując wszędzie jako najgorliwsi patrjoci, najaktywniejsi i rzekomo najwierniejsi członkowie danych zrzeszeń i instytucji, szerząc hałaśliwie ich programy, nieraz nawet występując pompatycznie przeciw komunizmo-

wi, ale zastrzykując przy każdej okazji nieznacznie bolszewickie tezy tak, aby się nikt w pierwszej chwili nie mógł w tem zorjentować.

Przenikają więc obecnie agenci bolszewiccy wszędzie — do szerokich warstw ludowych, zwłaszcza do stronnictw chłopskich oraz organizacji robotniczych, do wszystkich bez wyjątku partji politycznych, do wszelakich stowarzyszeń, nawet religijnych — podniecając wszędzie namiętności i spory, buntując pod różnym pozorem ludzi przeciw sobie i przeciw państwu, przyczyniając się do rozłamów w partjach i instytucjach, działając rozkładowo w użytecznych zrzeszeniach, podniecając coraz bardziej ruch antysemicki, wywołując, gdzie tylko się uda zamieszki, a nawet krwawe rozruchy, szczując przeciw sobie narodowości, słowem: działając wszędzie jako zły duch powszechnego buntu i rozkładu.

Szczególnie w Polsce podszczuwają liczni agenci bolszewiccy — używając w tym celu faryzeuszowskiej postawy patrjotyzmu, obrony demokracji, rzekomej sprawiedliwości i postępu — bardzo sprytnie przeciw sobie oraz przeciw Rządowi polskie partje polityczne, zarówno prawicowe, jak i lewicowe, dalej wszelakie mniejszości narodowe, obałamucając chytrze rzucanemi hasłami inteligenta, chłopa i robotnika i wciskając się nawet z udaną pobożnością do zrzeszeń religijnych, w których umieją po mistrzowsku grać komedję gorliwych katolików lub prawosławnych.

W ten sposób wytwarzają w Polsce bolszewicy prawdziwie zatrutą atmosferę, która stopniowo powoduje ten rezultat, że nie tylko wybuchają w kraju raz po raz krwawe zamieszki, ale że nawet bardzo wykształceni, umiarkowanie usposobieni i religijni ludzie — niekiedy nawet już i księża — zaczynają mimo woli głosić lub pisać rzeczy w myśl dążeń Kominternu, sami sobie sprawy z tego nie zdając!

Przykład: uchwalona niegdyś w Polsce reforma rolna, mająca na celu racjonalniejsze wykorzystanie ziemi i hodowli oraz umożliwienie mnożącej się ludności włościańskiej uzyskiwanie stopniowo coraz szerszego oparcia na ziemi i tworzenie dobrze zorganizowanych, postępowych gospodarstw wiejskich, przestała już dawno służyć tym właściwym celom. Służy natomiast szerzeniu idei bolszewizujących, rozgrywce najradykalniejszych klik w kraju, zarażonych atmosferą bolszewizmu i innych, wrogich Polsce „obcych agentur", a przedewszystkiem służy wyraźnie celom międzynarodowego żydowstwa, którego naczelne władze angielsko-amerykańskie postanowiły przed dwoma laty,

że Reformę Rolną trzeba w Polsce przeprowadzić choćby głupio, choćby nieracjonalnie, ze szkodą dla chłopa i dla kraju, choćby się miało podzielić całą ziemię na głodowe gospodarstwa półmorgowe, byle tylko gwałtem i przemocą przykuć całą ludność chłopską do roli i nie dopuścić jej częściowego zarobku i kształcenia się w miastach lub fabrykach, gdyż miasta i fabryki mają być zarezerwowane dla Żydów i dla żywiołów bolszewizujących.

A więc w rezuultacie ma powstać na wsi nędza, zwiększająca się w miarę wzrostu ludności wiejskiej i prowadząca do zaprowadzenia prędzej czy później systemu rosyjskich „kołhozów“ — to jest gospodarstw państwowych, na których chłop zmuszony będzie do niewolniczej, prawdziwie pańszczyźnianej pracy — a w miastach, miasteczkach i fabrykach mają chwycić prawdziwą władzę w ręce żydo-komuniści, zagarnąć cały kapitał i handel, a inteligenta i robotnika zapędzić również w niewolę.

Kto ma możność śledzić dobrze, trzeźwem okiem, rozwój stosunków w Polsce, ten zdaje sobie dobrze sprawę, że ustrój w kraju naszym zmierza zwolna, nieznacznie, ale stale w kierunku stopniowej bolszewizacji.

I dzieje się to oczywiście nie bezpośrednio rękami moskiewskich bolszewików, ale za ich sprytną podnietą rękami niestety polskiemi!!! Akcja bolszewicka, mająca w zanadrzu tysiączne, bałamucące środki i sposoby, znajduje zawsze w państwie naszem dureńkowatych lub wprost podłych, albo wreszcie nieświadomych Polaków, Ukraińców, Białorusinów lub Litwinów — nie mówiąc już o różnych sferach żydowskich — którzy świadomie lub podświadomie działają w myśl dążeń i rozkazów czerwonej Moskwy.

Ta metoda wydaje istotnie fatalne dla nas wszystkich owoce i okazuje się niestety skuteczną dla bolszewizmu. Bo, jak to już wykazaliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów tej rozprawy, bolszewizm czerpie w Polsce główną swą siłę z naszej własnej słabości i głupoty. Bolszewizm słabnie odrazu wszędzie tam, gdzie rozumna, należycie uświadomiona ludność da mu porządnie na odlew, wyśmieje się z bolszewickich obietnic i przepędzi agitatorów moskiewskich lub ich służalców krajowych gdzie pieprz rośnie. Mądry obywatel państwa polskiego, dobrze opancerzony przeciw chytrym podszeptom i wpływom bolszewizmu, wcale go się obawiać nie potrzebuje — gdy natomiast naiwnym obywatelom, którzy wciąż jeszcze dziecinnie wierzą, że rozruchy, strajki i bolszewickie obietnice mogą ich

byt poprawić, grozi naprawdę wielkie niebezpieczeństwo i ostatnia nędza, a dla Polski nowa katastrofa moskiewskiego zaboru, przy którym częściowo oczywiście także i Niemiec nie omieszkałby skorzystać.

Zapamiętajmy sobie dobrze tę niezbitą prawdę: mądry Polak, Rusin, Białorusin i Litwin, o ile razem trzymają i odporni są na bolszewickie wpływy, nie potrzebują wcale obawiać się czerwonej Moskwy, jej gróźb i jej armji. Głupi zaś Polak, Rusin, Białorusin i Litwin, między sobą skłóceni i słuchający wywrotowych podszeptów, politycznych lub socjalnych, bolszewickich agitatorów, są zgóry skazani na zatratę swych narodów i niewolę rosyjskiej żydo-komuny!

To jest prawda niewzruszona, a każdy, kto jej przeczy lub jej nie widzi, jest albo skończonym głupcem, manekinem w ręku sprytnego bolszewizmu, albo wprost płatnym przez Moskwę zdrajcą swego narodu. I nad tą prawdą niemasz żadnej dyskusji, żadnego rezonowania. Bo dwadzieścia lat widoku krwawej, zakłamanej komedji bolszewickiej, który roztacza się przed nami z drugiej strony miedzy granicznej, potwierdza tę prawdę w całej pełni i winien już nawet i ślepym otworzyć oczy na perfidję i grozę rosyjskiego bolszewizmu!

WSPÓŁDZIAŁANIE Z BOLSZEWIZMEM INNYCH „OBCYCH AGENTUR".

Ale nie tylko od wschodu, ze strony rosyjskiego bolszewizmu, walą się na Polskę fale trującej atmosfery, które mają ją osłabić i zrobić z niej łatwy łup dla Moskwy. Dopomagają do tego płynące z zachodniej Europy, zwanej powszechnie „cywilizowaną", inne jeszcze niemniej trujące fale, które, przenikając w nasz organizm państwowy i społeczny, ułatwiają niezmiernie akcję samemu bolszewizmowi.

A te trujące gazy zachodnio-europejskie — to wpływ masonerji i stojącego za nią od wieków światowego judaizmu.

W ostatnich zwłaszcza latach — od chwili pierwszego wydania niniejszej rozprawy — wpływ pomagającej bolszewizmowi w jego zamiarach masonerji, a zwłaszcza żydo-masonerji, rozpowszechnił się w Polsce, szczególnie w miastach, w rozmiarach przedtem niebywałych, ogarnął państwo nasze jak dżuma. I znowu każdy, kto ma możność odpowiedniego zgłębienia i poznania tego groźnego stanu rzeczy, musi bez przesady przyznać, że obce te „agentury" chwyciły obecnie Polskę wprost za gardło.

Gdy celem bolszewickiej Moskwy jest ostatecznie nowy zabór Polski i zakucie jej w wieczystą niewolę rusycyzmu i komunizmu, to bezpośrednim celem żydo-masonerji jest niedopuszczenie za wszelką cenę do wewnętrznego i zewnętrznego wzmocnienia się Polski, jako mocarstwa i do powszechnej poprawy gospodarczego dobrobytu jej mieszkańców.

Bliższe, rzeczowe badanie wzrostu organizacji i wpływów żydo-masonerji, może istotnie podnieść włosy na głowie. Okazuje się, że znowu własnemi rękami głupich, a niesumiennych Polaków ogarnęła nas masonerja ze wszystkich stron dosłownie jak sieć pajęcza muchę. Niemasz już w Polsce żadnych partji politycznych, niemasz prawie — z nielicznemi wyjątkami — stowarzyszeń społecznych lub gospodarczych, któreby albo wprost nie były tworami masonerji, albo przynajmniej nie były zależne od niej w większym lub mniejszym stopniu! Okazuje się, że nawet stare, powszechnie znane i dla pewnych zasług szanowane organizacje, a zwłaszcza ich zarządy, są w gruncie rzeczy ekspozyturami masonerji lub przynajmniej oparte na masońskich podstawach, a więc „obcemi agenturami" w własnej Ojczyźnie. Są to niby twory polskie, czy ukraińskie, niby patrjotyczne w myśl pragnień swych narodów, ale w rzeczywistości słuchają rozkazów z zagranicy i to rozkazów, w ostatecznych swych konsekwencjach oczywiście wrogich dla Polski i religji.

Bo zniszczenie religji, a zwłaszcza katolicyzmu i Watykanu, jest głównym celem masonerji, a że Polska w swej znacznej większości jest katolicką i przywiązaną do Wiary, więc też od pierwszej chwili wskrzeszenia niepodległości polskiej rzuciły się na nas „obce agentury" z całą mocą, która potęguje się z roku na rok z przerażającą szybkością i rozmachem.

Wszak powszechnie wiadomo, gdyż występuje to z całą jawnością, że obalone zostały w Polsce, ogółem biorąc, dawne, słuszne i logiczne pojęcia cnoty, wartości pracy, talentu, zacności i zasługi — a ich miejsce zajęła wszędzie, w całem naszem życiu narodowem, bezczelna protekcja, która decyduje dzisiaj w kraju naszym o losie, o karjerze każdego niemal obywatela.

Nie zdradzamy tu żadnej tajemnicy, gdyż ten fatalny stan rzeczy jest powszechnie znany, bezsporny i mówi się o nim już powszechnie, z wszelkiemi szczegółami we wszystkich sferach społeczeństwa, nawet w najpoważniejszych, najkrytyczniej sprawy oceniających kołach. Nie jest to więc niestety żadna plotka kawiarniana, żadna sensacja brukowo-dzienikarska, ale najsmut-

niejsza prawda, wyłaniająca się z dniem każdym w całej swej grozie.

A groza ta jest tem straszniejsza, że przecież pewne główne cele żydo-masonerji i żydo-komuny są w istocie te same. Masonerja więc ułatwia bez żadnej wątpliwości rozwój bolszewizmu, choćby nawet przybierała się w szaty najbardziej patrjotyczne i choćby do jej szeregów należeli Polacy, na innych polach nawet bardzo zasłużeni. Otóż ponieważ tacy polscy członkowie czy sympatycy organizacji masońskich nawołują do walki z bolszewizmem, więc rozgrywa się tem samem w kraju naszym prawdziwie tragiczna farsa: mamy zwalczać żydo-komunę pod rozkazami żydo-masonerji!!!

Czy ty, Polaku lub Rusinie, czy Litwinie, jeszcze nie rozumiesz, do czego pchają się „obce agentury" na drogach cynicznej, bezczelnej tragikomedji, wyzyskując twoje niedostateczne uświadomienie i łatwowierność?!

Czy ty domyślasz się i rozumiesz, polski pracowniku umysłowy, robotniku i wieśniaku, jaki los gotuje tobie i całemu krajowi to podstępne, chytre, złowrogie współdziałanie polskiej masonerji z rosyjskim komunizmem pod najwyższą komendą światowej potęgi żydowskiej? Obiecują ci złote góry, pochlebiają twemu patrjotyzmowi, podniecają twoje żądania poprawy dobrobytu, ale w gruncie rzeczy pchają się do niewolnictwa i zagłady. Ich generalny plan polega przecież na tem, aby w Polsce nie rządził się i nie żywił się Polak, ale moskiewski bolszewik pod kierunkiem zagranicznych żydo-masonów.

Miljony dolarów płyną rok rocznie ze wschodu i zachodu między lud polski na propagandę bolszewizmu i masonerji niby w „polskim stylu". Roznoszą tę propagandę różne legalne i nielegalne pisma, ulotki i gazety, mianujące się perfidnie polskiemi i przyjaciółmi polskiego pracującego ludu. Jak olbrzymia jest ta propaganda, świadczy o tem fakt, że w samych tylko ostatnich czasach skonfiskować i zamknąć musiały nasze władze państwowe około siedemdziesiąt gazet i innych wydawnictw perjodycznych, które okazały się wyraźnie organami bolszewizmu.

I lud polski, jak również zamieszkujące kraj nasz mniejszości narodowe, rozczytywują się po wsiach i miastach w takiej prasie, sądząc naiwnie, że mają do czynienia tylko ze zwykłą prasą postępową, gdy w rzeczywistości wydawnictwa te zatruwają stopniowo dusze czytelników jadem bolszewizmu.

Oprócz trzech głównych rodzajów wrogich mocy, które wywrotowym swym wpływem i przenikającą wszędzie organizacją tajną usiłują osłabić, rozsadzić i w końcu opanować Polskę — a mianowicie światowego judaizmu, masonerji i bolszewizmu — działają u nas jeszcze bardzo czelnie i chytrze inne jeszcze wrogie „agentury", wprawdzie drugorzędne co do swego znaczenia, ale niemniej niebezpieczne jako pochodne wymienionych trzech głównych złych mocy i wysługujące się im na zgubę polskości i niezależności naszego państwa. Wśród tych drugorzędnych agentur najniebezpieczniejszą jest dla Polski i dla religji katolickiej propaganda czeska — powiedzmy otwarcie: propaganda rządu czeskiego — związanego, jak powszechnie wiadomo, z jednej strony ścisłym sojuszem z Rosją bolszewicką, z drugiej zaś zależnego od żydo-masońskiich organizacji zachodnio-europejskich i amerykańskich.

Te to rządy czeskie, które przy pomocy obcych, tajnych potęg narzuciły się sprytnie narodowi czeskiemu i zagarnęły swego czasu pod obłudnem hasłem „wspólnoty czesko-słowackiej" pod swe panowanie nie tylko nieszczęsny naród słowacki gwałtem i przemocą, ale także znaczne obszary, zamieszkałe przez Węgrów, Polaków i Rusinów, poddały się całkowicie pod wpływ i rozkazy czerwonej Moskwy, aby się przez to utrzymać przy władzy i stworzyły w ten sposób z państwa czeskiego groźną twierdzę wypadową bolszewizmu, masonerji i bezbożnictwa w samym środku cywilizowanej Europy. W rezultacie stała się Praga, mimo pozorów niezależności, w istocie placówką moskiewsko-bolszewicką, gdzie Sowiety rządzą się jak u siebie w domu.

Stąd wynikło, że we wszystkich niemal zbrodniczych zamachach politycznych w całej Europie, we wszystkich niemal buntach, mordach i krwawych zawieruchach, jakie zdarzają się kolejno w różnych państwach, działają agenci lub wprost siepacze czescy, a już co najmniej czeskie wpływy, fałszywe paszporty i pieniądze. Długa i dokładna statystyka zamachów i zamieszek w całej Europie w przeciągu ostatnich lat kilkunastu wykazuje niezbicie, że niemasz prawie żadnej krwawej awantury w Europie zachodniej — a wśród niej w Polsce — gdzie nie maczaliby swych brudnych rąk agenci czescy. Sieją nienawiść, wspomagają wszelkie spiski, a nawet dostarczają broni i mater-

jałów wybuchowych spiskowcom w różnych krajach za pomocą licznych swych placówek przemytu przez granice.

Dla Polski zaś, oprócz wszystkich powyższych środków, zastosowali z piekielnym sprytem inną jeszcze metodę, za pomocą której chwytają u nas na wędkę naiwnych, a mianowicie: ideę słowiańską.

Jak dobrze wiadomo jeszcze z dawnych, przedwojennych czasów, ideję bratania się ze sobą narodów słowiańskiego pochodzenia wymyśliła Rosja, aby tym chytrym sposobem przygarnąć pod swe wpływy Polaków, Ukraińców, Czechów, Serbów i Bułgarów. Głównymi zaś środkami propagandy tej idei i zjazdów „słowiańskich" były oddawna na przemian Moskwa i Praga. Moskale nastraszyli Czechów, będących wówczas pod panowaniem austryjackim że zginą w morzu niemczyzny, jeżeli nie zbratają się z Moskwą w imię jakichś prastarych — a dziś już zupełnie nieaktualnych i bezwartościowych — ideałów „Wielkiej Słowiańszczyzny". A Czesi tak się tym majakiem przejęli, że po dziś dzień występują i agitują wszędzie jako prowodyrzy idei wszechsłowiańskiej i łapią na tę przynętę niestety także i wielu głupich Polaków. Ci Polacy zaś nie zdają sobie sprawy z tego, że cały ten słowiański pomysł jest arcychytrą intrygą rosyjskiego imperjalizmu i że obecnie cały ruch „słowiański", ze wszystkiemi jego organizacjami i zjazdami jest oddawna opanowany przez bolszewików. Jest poprostu lalką w rękach perfidnej Moskwy i jej posłusznej służki, napół zbolszewizowanej Pragi, chociaż nie wie o tem wielu naiwnych, politycznie niewyrobionych polskich patrjotów z różnych sfer naszego społeczeństwa, którzy w swej niesłychanej łatwowierności oddają się wciąż nadziei, że jakaś mglista „wspólnota słowiańska" będzie mogła obronić narody słowiańskiego pochodzenia przed ewentualną „germańską nawałą".

A tymczasem rzeczywistość polityczna jest całkiem inna. Bo wprawdzie wobec Niemców musimy zachować odpowiednią czujność i wzmagać potęgę naszego państwa przez odpowiednie dozbrojenie i obowiązującą wszystkie mocarstwa gotowość bojową na wszelki wypadek, ale jeżeli chodzi o bezpośrednie niebezpieczeństwo, to grozi nam ono przedewszystkiem właśnie ze strony naszych „słowiańskich pobratymców" czeskich i rosyjskich. Rzecz wiadoma zresztą dobrze z naszej historji, że najcięższe i najdłuższe walki toczyć musiała Polska od tysiąca lat właśnie z napadami ze strony fałszywych „braci słowiańskich",

a więc kolejno z Czechami (którzy często wspomagali Krzyżaków), potem Rusinami i Kozakami, wreszcie z Moskalami.

Tak więc wszystko, co ukrywa się dzisiaj pod firmą „słowiańskiego braterstwa“ jest obrzydliwą czesko-bolszewicką intrygą. która w danym razie przeciw Niemcom nic nam nie pomoże, a natomiast gotowa jest w każdej chwili wbić nam nóż w plecy i służy perfidnie jako pułapka na łatwowiernych — jako sprytny środek do szerzenia bolszewizmu i innych doktryn wywrotowych.

Dlatego prosty rozum polityczny nakazuje nam: Precz z Polski ze wszystkiem co firmuje się hałaśliwie słowiańszczyzną! We wszystkiem tem bowiem jest ręka bolszewicka i głęboko pod nią ukryta intryga żydo-masońska.

PRAKTYCZNE WNIOSKI.

Ze wszystkiego, co stwierdziliśmy w tej rozprawie — a co bezwzględną zawiera prawdę, opartą na długiem doświadczeniu i pilnej obserwacji działania złych mocy — wynikają dla polskich Rządów i polskich prywatnych sfer obywatelskich, bez względu na różnice przekonań politycznych, następujące nadrzędne wskazania praktyczne:

1) Państwo polskie nie jest jeszcze prawdziwie niepodległem, gdyż wprawdzie znikły z ziemi naszej rządy trzech cesarstw zaborczych, ale na ich miejscu powstał czwarty zaborca w postaci „obcych agentur“, z judaizmem, masonerją i bolszewizmem na czele, które chwyciły nas dosłownie za gardło, rozpanoszyły się w całem państwie, przenikają we wszystkie komórki naszego organizmu społecznego i dążą wyraźnie, bezspornie do czwartego rozbioru Polski, ułatwiając go sobie głębokiem zatruwaniem narodu. Trzeba więc, aby cały naród dobrze te wrogie zamiary sobie uświadomił, przeciw tym wpływom odpowiednio się opancerzył, uszeregował się przeciw nim w mocnym jednolitym froncie, a wewnątrz kraju zrobił należytą czystkę moralną za pomocą spokojnego ale stanowczego usunięcia od wpływów wszelkich świadomych lub nieświadomych pomocników złych mocy i za pomocą odpowiedniej reformy państwowego ustroju wykluczył na przyszłość hulanie po naszym kraju i w naszej gospodarce wszelkich eksperymentów demagogicznych, wywrotowych i wogóle osłabiających.

2) W związku z powyższem przeciwstawić się trzeba zgodną mocą całego społeczeństwa dalszej etatyzacji i biurokracji ży-

cia społeczno - gospodarczego w Polsce i wszelkim pomysłom i projektom ustaw, zmierzającym w tym kierunku, gdyż w dzisiejszych czasach nadmierny rozwój etatyzmu i burokratyzmu, choćby w imię najpatrjotyczniejszych haseł szerzony, jest bez żadnej wątpliwości pierwszym stopniem i niezmiernem ułatwieniem dla działalności wrogich Polsce czynników, a zwłaszcza Kominternu.

3) Stąd wynika, że *prawdziwa istota skutecznej walki z bolszewizmem i innemi wrogiemi mocami sprowadza się do walki o racjonalny, umiarkowany, celowy ustrój państwa.* Dopóki w ustawodawstwie naszem i w nastawieniu polityczno - społecznem szerokich warstw polskiego społeczeństwa panuje wciąż jeszcze moment hasełkowatej demagogji i gnębienia jednostki na rzecz etatyzmu państwowego lub różnych doktryn i partji politycznych, dopóty mowy być nie może o wyzwoleniu Polski z pod władzy owego „czwartego zaborcy" i wszelkie porywanie się na walkę z komunizmem, czy judaizmem, czy masonerją będzie zawsze smutną, a jałową komedją.

4) W walce z obcemi agenturami — poza oczywistem likwidowaniem przez policję bolszewickich jaczejek i surowem ich karaniem — położyć należy główny nacisk nie tyle na demaskowanie poszczególnych agentów lub manekinów tych agentur, ile przedewszystkiem na *zdecydowane przeciwstawienie się temu, aby planowane przez nich owoce nie dojrzały.* Niewiele bowiem można zdziałać przez wykrycie i wypędzenie z zajmowanego stanowiska jakiegoś bolszewickiego przedawczyka lub masona, skoro potężna organizacja obcych agentur na miejsce zdemaskowanej osoby wyznaczy pięć lub dziesięć innych, o czem nikt nie będzie miał nawet pojęcia. Ale natomiast bezwzględna likwidacja całych zrzeszeń pozornie bardzo patrjotycznych, nawet „charytatywnych", wyglądających niewinnie pod względem politycznym, ale w głębi swej będących jednak emanacją obcych agentur, dalej stanowcze przeciwstawienie się wszelkim pomysłom ustaw i rozporządzeń o charakterze etatystycznym, bez względu na to, od kogo te pomysły wychodzą, dalej zdecydowane przeciwstawienie się ciągłemu postępowi proletaryzacji gospodarstwa społecznego i sprowadzenia wszystkich Polaków do nędzy za pomocą niesłychanie skomplikowanego aparatu demagogiczno-biurokratycznego oraz rozdętych do niemożliwości ogółu świadczeń publicznych, co płodzi postępową nędzę, ferment społeczny i bezrobocie, wreszcie ogólne uznanie przynależności do obcych agentur lub pomagania im za zdradę państwa

i radykalne wykorzenienie protekcji masońskiej w obsadzaniu lepszych w Polsce placówek politycznych i gospodarczych — oto właściwe środki skutecznego zwalczania zaborczej, obcej zarazy.

5) Uświadomić sobie trzeba należycie, że w gruncie rzeczy panuje nad światem właściwie tylko jedna, naczelna „obca agentura", rzeczywiście obca i wroga całemu światu, zwłaszcza chrześcijańskiemu, mianowicie: wszechświatowa konspiracja judaizmu, której centralne władze znajdują się daleko od nas, za morzami, ale która w Polsce i wszędzie ma swych agentów, manekiny, lub steroryzowane i zmuszone do posłuszeństwa sługi.

Naczelna ta agentura judajska jest tak bezwzględna w działaniu, że w wielu wypadkach poświęca nawet los i życie niższych wartsw żydowskich swoim celom, prowokując wybuchy antysemityzmu i t. p.

Ona to dyryguje w najwyższej instancji masonerją, ona wymyśliła socjalizm, a potem zwłaszcza komunizm, ona wspomaga propagandę bolszewicką na całej kuli ziemskiej, ona opanowała wielki kapitał, prawie wszystkie banki i prawie całą prasę świata. Wszak wybitniejsi żydzi wyznają niekiedy otwarcie w swych enuncjacjach, że wszystko to, co w zakresie bankowości i prasy pozostało jeszcze poza ich wpływem, to już tylko „drobiazgi bez większego znaczenia".

I tak niestety jest. Z tej wielkiej prawdy trzeba dobrze zdać sobie sprawę i nie wolno nam, Polakom, dać się brać na kawał przez monstrualną politykę i prowokację tej olbrzymiej mafji, wobec której nawet Komintern moskiewski jest tylko pewnego rodzaju narzędziem. A stąd wynika wniosek, że

6) zamiast osłabiać ład i porządek w państwie polskim przez wybuchy bezmyślnego antysemityzmu, skierowanego przeciw najniższym sferom żydowskim, należy przeprowadzić gruntowną rewizję obsad wyższych i niższych stanowisk w bankach, prasie i w większych przedsiębiorstwach gospodarczych i wyrwać w ten sposób najgłębsze, najistotniejsze korzenie władztwa wrogich agentur w Polsce.

Bez tego nie postąpimy na serjo ani o krok naprzód w walce z wrogiem. I niech nas nie mylą zręcznie przez obce agentury stworzone pozory, iż na czele banków, wielkich przedsiębiorstw państwowych i prywatnych oraz na czele organów prasowych stoją poważni polscy patrjoci. Leży to bowiem oczywiście w planie wrogich nam mocy, aby dobrze się zamaskować. Ale rę-

czymy, że gruntowne zbadanie rzeczywistego stanu rzeczy i zdemaskowanie istotnych kierowników wyżej wymienionych instytucji, ukrytych nieraz na skromnych stanowiskach, przyniesie oszałamiające rewelacje i oczyści Polskę z masońsko-bolszewickiego śmiecia.

———————

Na zakończeie zwrócić musimy powszechną uwagę na pewien fakt, szczególnie znamienny.

Oto w ciągu prawie już dwudziestoletniego bytu wskrzeszonej Polski powstają u nas raz po raz liczne instytucje i zrzeszenia antybolszewickie, niektóre z nich nawet bardzo poważne, doznają chwilowo poparcia przez Rządy i różne sfery społeczeństwa, rozwijają się do pewnego punktu, a potem — z najrozmaitszych powodów — załamują się i upadają. Powody zewnętrzne tego upadku bywają różne, często zanik funduszów, a niekiedy wprost przeciwnine: chwilowy nadmiar funduszów, mający na celu zagalopowanie się danej instytucji w szeroką akcję, której się potem nagle usuwa pieniężne podstawy i przez to ją niszczy. Ale mniejsza o zewnętrzne szczegóły, gdyż te można zawsze różnorako tłumaczyć. Główna natomiast rzecz leży w ogólnem zjawisku *systematycznego zaniku wszelkiej zorganizowanej akcji przeciw obcym agenturom w państwie polskim.*

Zjawisko to nie podlega dziś już żadnej wątpliwości. I stąd nasuwa się bardzo poważne pytanie: Kto paraliżuje stale, konsekwentnie działalność społeczeństwa polskiego przeciw wzmagającym się wpływom czwartego zaborcy? Kto i co powoduje, że prasa polska, tak czujna na najdrobniejsze sensacje i wydarzenia, przemilcza ten fakt doniosły i zamiast uderzyć na alarm, sprawia wrażenie, jak gdyby lekceważyła wysiłki i organizacje anty-agenturowe w społeczeństwie?

Wprawdzie wiele dzienników zamieszcza artykuły antybolszewickie, czy antymasońskie. Ale ludziom, lepiej uświadomionym o tajnikach metod obcych agentur, wiadomo dobrze, że z rozproszonych dziennikarskich artykułów wrogie Polsce czynniki niewiele sobie robią. Niewiele robią sobie nawet z poszczególnych, tu i tam zwoływanych zgromadzeń anty-agenturowych, na których jakiś uproszony mówca wytnie niewinną mówkę antysemicką, czy antymasońską, czy antybolszewicką. Czego natomiast wrogie agentury naprawdę w Polsce się obawiają i co im naprawdę może przeszkodzić, to jedynie tylko czyn — śmiały, bezwzględny, dobrze skoordynowany czyn w postaci

naprzykład zdecydowanego poparcia poszczególnych organizacji anty-agenturowych, a zwłaszcza związania ich *w jeden finansowo i społecznie silny front*, poparty w opinji ogółu stałą serją prasowych artykułów, dobrze wymierzonych. A stąd

7) powstanie w kraju takiego jednolitego frontu, z jakimś zdecydowanie działającym centralnym komitetem na czele, jest generalnym warunkiem i postulatem odparcia wrogiej nawały. Światowy judaizm, masonerja i komunintern — to przecież świetnie zorganizowane potęgi. Jak może zwyciężyć je w Polsce rozprószona, idąca w pojedynkę, a więc mizerna i wiecznie na brak najniezbędniejszych funduszów cierpiąca inicjatywa poszczególnych naszych zrzeszeń lub izolowanych działaczy? Jak może Stalin, czy „najwyższa rada" żydo-masonerji wystraszyć się jakiegoś izolowanego artykułu w tym lub owym dzienniku? Wprost przeciwnie, takie odosobnione, niezorganizowane usiłowania i głosy, tłumione szybko tajną ręką, robią obcym agenturom tylko znakomitą reklamę, gdyż uwypuklają w oczach świata śmieszną mizerję i staropolską anarchję naszych wysiłków, w przeciwstawieniu do olbrzymiej, dobrze zorganizowanej i w ogromne środki zaopatrzonej potęgi żelaznego walca, który się na nas toczy z nieubłaganą konsekwencją.

Zarząd Zw. P. M. P.

jako wydawca „Bolszewickiej Prawdy"